

# Ameryka Południowa 2006

Poniżej znajduje się relacja z podróży Magdy i Przemka ([plecakowicz@gmail.com](mailto:plecakowicz@gmail.com)) na trasie Brazylia-Argentyna-Boliwia-Peru-Ekwador-Kolumbia-Wenezuela. Jeżeli ktoś jest zainteresowany zdjęciami z tej wyprawy to zapraszam na <http://plecakowicz.pl/foto>.

## 29.06.2006, czwartek, Katowice->Frankfurt->Sao Paulo

Lecimy z Katowic, ponieważ, gdy miesiąc temu kupowaliśmy bilet lotniczy, lot z Wrocławia do Frankfurtu był już pełny. Wszystko spowodowane tym, że z Wrocławia lata mały samolot ATR, który ma tylko kilkadziesiąt miejsc. Natomiast z Katowic lata Boeing 737, czyli około dwa razy większy samolot.

Wylatujemy z Katowic o 19:15 i już po półtorej godziny jesteśmy we Frankfurcie. Lotnisko we Frankfurcie jest największym lotniskiem w Niemczech i jednym z największych na świecie. Stąd można dolecieć prawie wszędzie. Lotnisko znamy jak własną kieszeń, ponieważ większość naszych dalekich wypraw odbywała się przez Frankfurt.

O 22:00 mamy wylot brazylijską linią Varig, która jest w sojuszu z LOTem i Lufthansą, do Sao Paulo. Jesteśmy trochę zaniepokojeni, bo słyszeliśmy, że Varig zbankrutował i odbywa się tylko 70% lotów. Jednak mieliśmy informacje z Polski, że lot się powinien odbyć. Rzeczywiście samolot jest, jednak wylatujemy z 2 godzinnym opóźnieniem. Podobno zepsuł się monitor w kokpicie pilota.

## 30.06.2006, piątek, Sao Paulo->Rio de Janeiro (km 430)

Rano jesteśmy już nad Brazylią, jednak z powodu pogody musimy lądować w Rio de Janeiro. Wszystko nam pasuje, bo i tak z Sao Paulo od razu mieliśmy jechać autobusem do Rio. Jednak okazuje się, że nie możemy wysiąść, ponieważ nasze bagaże i tak pojedą do Sao Paulo. Wsiadają za to ludzie, którzy lecieli do Rio przez Sao Paulo. Do Sao Paulo dolatujemy z 5 godzinnym opóźnieniem. Mamy dość Variga i cieszymy się, że w drodze powrotnej będziemy lecieć Lufthansą. Na lotnisku spotykamy Polkę, która przyjechała tu na wakacje uczyć dzieci angielskiego. Wymieniamy trochę pieniędzy i z lotniska jedziemy busikiem do centrum. Na dworcu autobusowym jest duży big-screen i kilkadziesiąt osób ogląda mecz Argentyna-Niemcy (Mistrzostwa Świata w Niemczech). My szukamy kantoru, aby wymienić więcej pieniędzy i tak trafiamy do dużego centrum handlowego. Następnie kupujemy bilet na autobus do Rio (kilkanaście firm do wyboru) i około 13:00 wyjeżdżamy. Autobus jest bardzo dobry. Jest to brazylijski autobus firmy Marcopolo. Nic dziwnego, że Brazylia produkuje własne autobusy, bo jest jednym z największych krajów na świecie i ma tysiące kilometrów autostrad. Z dworca autobusowego jedziemy do dzielnicy Ipanema, która uchodzi za bogatą i spokojną. Tam znajdujemy hotel, w którym spędzimy naszą pierwszą noc w Ameryce Południowej.

## 01.07.2006, sobota, Rio de Janeiro (km 440)

Z perspektywy czasu wiemy, że Brazylia jest krajem kontrastów. Ludzie w Brazylii są bardzo wymieszani, bo na ulicach widać białych, Latynosów i Murzynów. Tak samo jest ze zróżnicowaniem społecznym. W centrum Rio widać bogactwo a kilka ulic dalej bezdomni śpią na ulicy. Kraj słynie także z pięknych kobiet, ale nam się nie udało ich dużo zobaczyć. Za to widzieliśmy dużo więcej i to dużo większych grubasów niż w Polsce.

Wstajemy rano i idziemy na plażę. Plaża jest ładna, jest to na pewno jedna z najładniejszych plaż miejskich jakie widzieliśmy. Później jemy śniadanie, które jest w cenie noclegu. Jemy chleb tostowy z jajkami na twardo i dżemem. W Polsce jemy zwykle lepiej, ale trzeba będzie się przyzwyczaić do podobnego jedzenia. Następnie jedziemy autobusem miejskim zobaczyć Głowę

Cukru (Pao de Sugar). Jest to pionowa góra, na którą wjeżdża się kolejką liniową. Niektórzy jednak wybierają trudniejszą drogę i wspinają się (ze sprzętem i linami) po stromej skale. Z góry jest rewelacyjny widok na miasto, które leży na kilkunastu wysepkach i półwyspach. Widać Corcovado z posągiem Jezusa, słynną plażę Copacabanę i lotnisko położone przy samej wodzie. Zjeżdżamy w dół i następnie jedziemy autobusem do Corcovado. Stąd jest kolejka szynowa na górę. Z góry jest kolejna panorama na miasto i najważniejsze, czyli sławny posąg Jezusa. Wielkość posągu robi wrażenie. Okazuje się, że teraz posąg jest pod słońce i najlepiej go oglądać przed południem, co nie było napisane w naszym przewodniku. Z góry widzimy Ipanemę i naszą plażę. Widać też sławny stadion Maracana. Zjeżdżamy na dół i okazuje się, że nie jeżdżą żadne autobusy. Powód jest bardzo prosty, właśnie zaczął się mecz Brazylia-Francja. Byliśmy poinformowani, że podczas meczu nic nie będzie jeździć, więc nie byliśmy zdziwieni. Zrobiliśmy to co Brazylijczycy, czyli zaczęliśmy oglądać mecz. Bardzo ciekawe doświadczenie oglądać jak się emocjonują brazylijscy kibice. W przerwie meczu leci reklama, w której gra Brazylia z Argentyną, czyli odwiecznym konkurentem. Oczywiście Argentyńczycy grają słabo i przegrywają. Jeden z Argentyńczyków ślizga się po murawie i w rozkroku wjeżdża w słupek bramki. Po reklamach rozpoczyna się druga połowa meczu. Mecz kończy się wynikiem 1:0 dla Francji. Pod koniec Brazylia przeważała, ale nie potrafiła strzelić bramki. Kibice przyjęli to bardzo spokojnie. Myśleliśmy, że będą to więcej przeżywać. Teraz możemy wrócić autobusem do Ipanemy.

### 02.07.2006, niedziela, Rio de Janeiro->Foz do Iguacu (km 1930)

Jemy śniadanie i idziemy na skały przy Ipanemie. Okazuje się, że widać stąd posąg Jezusa na Corcovado. W zasadzie Jezusa widać prawie w całym mieście, tylko budynki trochę zasłaniają widok. Następnie idziemy na słynną Copacabanę. Plaża jest szersza niż Ipanema, ma więcej palm, ale według nas jest gorsza. Za plażą od razu jest ulica a za nią same hotele i budynki. Trzeba przyznać, że w Rio są najładniejsze miejskie plaże jakie widzieliśmy. Dzisiaj jest niedziela i ulica przy plaży jest zamknięta. W niedzielę mieszkańcy Rio uprawiają jogging i siedzą na plaży.

Wracając z plaży trafiamy na owocowy targ. Kupujemy tanie pomarańcze, mandarynki i banany. O 13:30 jesteśmy w naszym hotelu. Właścicielka ściska nas i całuje na pożegnanie. Bardzo miłe, pierwszy raz nas takie coś spotyka. Zabieramy plecaki i jedziemy do centrum Rio (Plac 15 Novembre), gdzie oglądamy kolonialne budynki i katedrę (Cindalaria). Przy np. Kapsztadzie to centrum Rio się chowa. Następnie jedziemy autobusem na dworzec autobusowy, skąd kupujemy nasz najdroższy bilet autobusowy w życiu (78\$) do Foz do Iguacu. Dwa główne powody wysokiej ceny to po pierwsze, jest tam daleko, bo 1500 km. Po drugie Brazylia jest bardzo droga (droższa niż Polska). Około 15:00 rozpoczynamy naszą podróż, która ma trwać 24h.

### 03.07.2006, poniedziałek, Foz do Iguacu->Puerto Iguazu (km 1950)

Autobus jest bardzo wygodny, jest prawie dwa razy mniej siedzeń, bo siedzenia rozkładają się do połowy i wysuwają się podnóżki. Jak wsiadaliśmy dostaliśmy także jakieś ciasteczka i picie. Co 6 godzin zatrzymujemy się na większy postój na jedzenie, które w przydrożnych barach jest jeszcze dwa razy droższe. Zza szyby autobusu oglądamy brazylijską roślinność. Tutaj jest zima, ale i tak oglądamy dużo zielonych drzew. Najciekawsze są drzewa ipo, które mają wszystkie liście różowe, żółte lub białe. Takiego drzewa jeszcze nigdzie nie widzieliśmy.

Po 26 godzinach, z dwugodzinnym opóźnieniem, dojeżdżamy do Foz do Iguacu. Postanowiliśmy zatrzymać się po argentyńskiej stronie, więc jedziemy autobusem do centrum, skąd jest następny autobus do Puerto Iguazu w Argentynie. Na szczęście nie potrzebujemy wiz do Brazylii i Argentyny, więc będziemy mogli wrócić do Brazylii, aby zobaczyć brazylijską stronę wodospadów.

Puerto Iguazu a także cała północ Argentyny, którą zwiedziliśmy to małe, spokojne, ospałe miasteczka o niskiej zabudowie, które kojarzyły nam się z dzikim zachodem. Można to chyba wytłumaczyć tym, że Argentyna jest krajem 9 razy większym od Polski a mieszka tam tyle samo

ludzi co w Polsce. Jest tu zupełnie inaczej niż w Brazylii. Przeważają Latynosi i pojawili się Indianie, którzy tu sprzedają pamiątki. Samochody to w dużej części stare graty, czego w Brazylii nie widzieliśmy.

W Puerto Iguazu znajdujemy hostel z hamakami i basenem (nieczynny). Następnie idziemy do dużego sklepu spożywczego a później do restauracji, bo tutaj nie jest już tak drogo jak w Brazylii. Zamawiamy zestaw dla dwojga i dostajemy tyle jedzenia, że moglibyśmy się najeść w czwórkę. Część jedzenia oddajemy żebrzącemu dziecku, które dzieli się nim ze swoją rodziną. My idziemy do hostelu, gdzie chowamy nasze zakupy we wspólnej lodówce i odpoczywamy na hamakach.

#### 04.07.2006, wtorek, Puerto Iguazu->Foz do Iguacu->Puerto Iguazu (km 2080)

Wstajemy rano i jedziemy do Foz do Iguacu. Po drodze przejeżdżamy granicę argentyńsko-brazylijską, gdzie musimy wytrzeć buty w specjalną wycieraczkę. Z Foz jedziemy następnym autobusem do PN Iguasu. Autobusy w Brazylii (tak samo było w Rio) są śmieszne, bo mają w środku obrotową bramkę, którą można przejść tylko w jedną stronę. Przy tej bramce siedzi kasjer, któremu się płaci za przejazd. Z autobusu wychodzi się tylnymi drzwiami.

Okolo 8:30 jesteśmy pod bramą PN Iguasu, który otwierają o 9:00. Od 8:30 wpuszczają jedynie osoby, które kupiły bilety wczoraj. Po kupnie biletów jedziemy autobusem z odkrytym dachem pod wodospady. Pogoda jest tragiczna: mgła, zimno i brak słońca. Jednak do wodospadów jest jeszcze kilka kilometrów i przy wodospadach pogoda jest znacznie lepsza. Wsiadamy z autobusu i mijamy wszystkich turystów, bo chcemy mieć ładne zdjęcia, bez tłumów ludzi.

Wodospady są ogromne i dużo lepiej je widać niż Victoria Falls, na których byliśmy w zeszłym roku. Widać, że jesteśmy w porze suchej, bo na zdjęciach widzieliśmy dużo więcej wody. Jednak w głównym punkcie widokowym, czyli w okolicach gardzieli, wody jest dużo. Dodatkowo oglądamy trzy tęczę. Podchodzimy specjalnie wybudowanymi kładkami do miejsca, w którym wodę mamy dookoła siebie. Oglądając Iguasu Falls, Eleanor Roosevelt powiedziała „biedna Niagara”, ponieważ jest on cztery razy szerszy od Niagary. Gdy kierujemy się w stronę autobusu widzimy kilka różnokolorowych motyli.

Po dwóch godzinach opuszczamy PN Iguasu. Obok wejścia do PN Iguasu jest park z ptakami (bird park). Zastanawiamy się, czy opłaca się tam wchodzić, ale dwie ogromne papugi przy wejściu, podobne do tych, które mamy na okładce przewodnika po Ameryce Południowej, przekonują nas do tego. Na początku oglądamy klatki z małymi kolorowymi ptaszkami. Następnie zaczynają się większe ptaki. Najbardziej podobają nam się różnokolorowe papugi, które mają prawie metr wysokości. Papugi odpowiadają „hello” na takie same pozdrowienie ze strony turystów. Następnie wchodzimy do wielkich klatek, w których mieszkają papugi, tukany, pawie i dużo innych ptaków. Jeden z tukanów jest tak oswojony, że udaje nam się go pogłaskać. Już wiemy, że opłacało się wydać pieniądze na wstęp. Okazuje się, że park jest ogromny. W którejś z kolejnych klatek są same duże papugi. Przy wejściu pisze, że trzeba uważać i wchodzi się do nich na własną odpowiedzialność. Oglądamy jak taka duża papuga siedzi kobiecie na ramieniu. Też tak chcemy. Po chwili kobieta oddaje mi papugę, która przeskakuje na moją rękę i Magda próbuje zrobić zdjęcie. Okazuje się, że przyfruwa i siada na mnie kolejna duża papuga. Teraz inni turyści mi zazdroszczą. Papugi strasznie się wiercą, łapią za pasek opakowania od aparatu. Przekazuje Magdzie jedną z papug a druga sama odlatuje. Papuga dobiera się dziobem do zamka błyskawicznego i psuje Magdzie polar. Pisało przy wejściu, że wchodzimy na własną odpowiedzialność. Bardzo nam się tu podoba. Nie chce się nam wychodzić. Po jakimś czasie ktoś przestraszył papugi i stado kilkunastu papug przeleciało nam nad głowami. Ludzie zaczęli się chować, bo papugi małe nie były a ich skrzydła robią spory szum. W parku ptaków byliśmy aż prawie 3 godziny. Przy wyjściu była jeszcze duża papuga z trenerem, przy której ludzie robili sobie zdjęcia. Tu mogliśmy zrobić lepsze zdjęcia, bo papuga się tak nie wierciła.

Tak jak przyjechaliśmy, wracamy do Puerto Iguazu. Ostatecznie żegnamy Brazylię. Po 15:00 jesteśmy na miejscu i czekamy na autobus do argentyńskiej części wodospadów. Tu od wejścia jedzie się kolejką wąskotorową. Mamy mało czasu, więc zwiedzamy tylko najważniejsze miejsca. Najciekawsza okazuje się gardziel, którą wcześniej widzieliśmy z daleka po stronie brazylijskiej a teraz widzimy z bliska, z góry. Do gardzieli podchodzi się kładkami długości około 1 km. Już z daleka słychać huk wodospadu. Podchodząc bliżej huk jest ogromny, tak, że nic nie słychać. Za to widać z bliska całą, kilkusetmetrowej szerokości gardziel i tysiące litrów spadającej wody. Z tego miejsca nie ma dobrych zdjęć, bo jest za blisko, za to film wyszedł rewelacyjnie.

Wracamy ostatnim pociągiem do wejścia. Później czekamy na autobus do Puerto Iguazu. Przejazdka autobusem jest ciekawa, bo kierowca prowadząc autobus liczy pieniądze. Nie trzeba było siadać z przodu :) W Puerto Iguazu idziemy na kolację do tej samej restauracji co wczoraj. Zasłużyliśmy, bo dzisiaj był bardzo intensywny dzień. Pijemy yerba mate i jemy pizzę oraz kurczaka. W telewizji puszcza fragmenty dzisiejszego meczu Włochy-Niemcy (2:0). Później leci coś w rodzaju reklamy z muzyką i bramkami strzelonymi przez Włochów. Chyba Argentyńczycy byli za Włochami, ale to nie dziwne jak Niemcy pozbawili ich dalszej możliwości gry w mistrzostwach.

### 05.07.2006, środa, Puerto Iguazu->Salta (km 3680)

Mieliśmy do wyboru dwie drogi do Salaru de Uyuni w Boliwii. Pierwsza, krótsza, przez Paragway i Santa Cruz w Boliwii. My wybraliśmy drogę dłuższą w kilometrach, przez Saltę w Argentynie, ale szybszą w czasie przejazdu. Droga jest też wygodniejsza, ponieważ do granicy z Boliwią, czyli znaczną większość drogi, jest asfalt.

Wstajemy o 5:30, bo mamy autobus do Salty. Ku naszemu zaskoczeniu okazuje się, że ktoś zjadł nasze jogurty i ser żółty ze wspólnej lodówki w hostelu. Do Salty mamy jechać około 26 godzin. Najpierw jedziemy do Posadas, gdzie mamy przesiadkę na autobusie do Salty przez miasto Resistencia.

Po drodze oglądamy domy o niskiej zabudowie, dużo starych, dwudziestoletnich europejskich samochodów i nowsze amerykańskie. Przy drodze pasie się dużo koni a czasami ktoś przejeżdża na koniu. Północ Argentyny wygląda na dość biedną.

Jedziemy mniej więcej taką samą odległość jak z Rio do Foz do Iguacu, jednak bilet jest dwa razy tańszy. Autobus jest tej samej klasy, czyli siedzenia rozkładają się do połowy i wysuwają się podnóżki (semi-cama). Jednak szczęki nam opadły do ziemi jak się okazało, że mamy rozkładane blaty, na których dostaliśmy kolację na ciepło. Takiej obsługi w autobusie to jeszcze nigdzie na świecie nie widzieliśmy. Podobnie jak w samolocie, z tym, że jedzenie było lepsze niż w samolocie a siedzenia wygodniejsze.

### 06.07.2006, czwartek, Salta->Purmamarca (km 3880)

Po 25 godzinach jazdy, o 8:00 rano, dojeżdżamy do Salty. Według przewodnika jest to najładniejsze miasto na północy Argentyny, więc postanowiliśmy je zwiedzić. Zostawiamy plecaki w przechowalni bagażu i idziemy pieszo do centrum. Od dawna jest jasno, jednak miasto otoczone jest górami, dlatego pierwsze promienie słońca widzimy dopiero po 9:00. Zwiedzenie Salty, czyli rynku i kilku kościołów zajmuje nam mniej niż dwie godziny. Po drodze wstępujemy jeszcze na kawę i herbatę do napotkanej kawiarni. O 10:30 jedziemy już na północ, do Humahuaca. Po drodze oglądamy kolorowe skały, z których słynie ten rejon. Najciekawsze skały znajdują się w okolicy miejscowości Purmamarca, która jest naszym następnym celem. Okazuje się, że mogliśmy wysiąść godzinę wcześniej w Tilcara, na poprzednim przystanku, ale zmylił nas jeden Argentyńczyk. Do Purmamarca kursuje bardzo mało autobusów, więc mamy czas zwiedzić Humahuaca. Miasteczko jest małe: kilka ulic, jeden kościół i wzgórze, na którym rosną kaktusy i widać panoramę na miasto. Pod wieczór jedziemy autobusem do Purmamarca, gdzie znajdujemy tani nocleg w domu starego

dziadka a raczej on nas znajduje. Później idziemy oglądać miasteczko, w którym za bardzo nic nie ma. Jedyne ciekawe dla nas miejsce to kawiarnia z ciekawym wystrojem o nazwie Tea&Art.

### 07.07.2006, piątek, Purmamarca->La Quiaca->Tupiza (km 4160)

Wstajemy wcześnie rano, bo podobno wtedy najlepiej oglądać słynne 7 kolorowe skały. Jesteśmy nawet trochę za wcześnie i mamy czas na znalezienie dobrych miejsc do robienia zdjęć. Około 9:00 widzimy pierwsze promienie słońca wychodzące zza okolicznych skał. Widok jest naprawdę ładny. Dobrze, że byliśmy tu wcześniej, bo pojawia się coraz więcej turystów, łącznie ze szkolną wycieczką. Przed 10:00 idziemy po plecaki i po 10:00 odjeżdżamy autobusem do Tilcara. Stąd mamy o 11:00 kolejny autobus. Tym razem jedziemy prosto do La Quiaca, na granicy argentyńsko-boliwijskiej. Po drodze zaczyna się pustynia, jest sucho, pasą się jedynie lamy. Pierwszy raz w życiu widzimy znak drogowy uwaga lamy. Po drodze mijamy także znak informujący o przekroczeniu zwrotnika koziorożca. Wjeżdżamy powoli coraz wyżej, aż na wysokość 3840m. Na zewnątrz jest bardzo zimno, pojawiają się miejsca pokryte lodem. Jak się okaże później, cały następny tydzień spędzimy na podobnych wysokościach.

Na dworcu autobusowym w La Quiaca kupujemy jeden z najtańszych w życiu (50 gr) świeżych soków pomarańczowych. Następnie idziemy na granicę i już jesteśmy w Boliwii, chyba najbiedniejszym kraju Ameryki Południowej. Przystawiamy zegarki o godzinę do tyłu i wymieniamy pieniądze. Wiemy, że najlepszym środkiem transportu do Uyuni jest pociąg, ale podobno są strajki i pociąg nie jeździ. Musimy jechać autobusem do Tupizy (a stamtąd do Uyuni). Jest to bardzo ciężka droga, bo w Boliwii nie ma asfaltu. Dodatkowo dostaliśmy miejsca z tyłu, gdzie więcej trzęsie a przez szpary w oknach przedostaje się pył. Przypomina nam się podróżowanie autobusami w Etiopii czy Laosie. Zadziwia nas to, że w naszym autobusie jedzie oprócz nas 6 białych osób, bo odzwyczailiśmy się od widoku białych turystów. Po drodze łapiemy gumę, ale kierowca szybko zmienia oponę. Widocznie ma doświadczenie, bo zdarza się to bardzo często. Te kilka godzin jazdy do Tupizy było gorsze niż 24 godziny jazdy do Foz do Iguacu czy Salty. Około 17:00 jesteśmy na miejscu i okazuje się, że najbliższy autobus do Uyuni jest następnego dnia rano. Boliwia to nie Argentyna czy Brazylia, gdzie autobusy były co godzinę. Prędkość podróżowania też jest dużo niższa, bo jest to średnio 30 km/h.

Zostajemy w hostelu z innymi turystami z naszego autobusu. Oni decydują się kupić wycieczkę na Salar de Uyuni z Tupizy, bo chyba nie mają ochoty na dalszą podróż autobusem. My wiemy, że tu jest dużo drożej niż w Uyuni. W biurze turystycznym udaje nam się nawet stargować do dobrej ceny (90\$), ale wyjazd jest pojutrze a wycieczka trwa 4 dni. Postanawiamy jechać do Uyuni, skąd wycieczki trwają 3 dni i są jeszcze tańsze. Później idziemy do restauracji, gdzie zamawiamy bardzo tani zestaw obiadowy z zupą i drugim daniem (zwany w różnych krajach almuerzo, cena, menu del dia lub jeszcze inaczej). Zwykle jest tylko jedna zupa i kilka drugich dać do wyboru. Takimi zestawami będziemy się żywić aż do Kolumbii, czyli prawie półtora miesiąca.

### 08.07.2006, sobota, Tupiza->Uyuni (km 4360)

Około 4:00 w nocy słyszeliśmy pociąg, który przyjechał z Uyuni, więc blokady skończyły się. Pociąg jedzie do granicy i wieczorem będzie wracać przez Tupizę do Uyuni. Nie mamy ochoty marnować czasu, więc postanowiliśmy jechać autobusem.

Autobus jest dopiero o 10:00, więc mamy dużo czasu na zjedzenie śniadania. Najbardziej odpowiada nam miejscowy targ, na którym są także jadłodajnie. Jemy spaghetti, coś w rodzaju gofrów i pijemy herbatę. Wszystko bardzo tanie.

Autobus wyjeżdża w miarę punktualnie. Mamy do przejechania tylko 200 km, ale po drodze są góry, serpentyny i przepaście. Oczywiście o asfalcie można zapomnieć. W połowie drogi góry się kończą i zaczyna się pustynia, na której widzimy tylko lamy. Pod koniec drogi słońce zachodzi a ludzie ubierają grube swetry itp. Do Uyuni dojeżdżamy po 8,5 godzinach a był tylko jeden długi przystanek. Naszym podstawowym celem jest znalezienie hotelu i kupienie wycieczki na Salar de

Uyuni. Idziemy do niezależnego biura Ranking Boliwia, które zbiera opinie od turystów, którzy wrócili z wycieczek organizowanych przez kilkadziesiąt agencji turystycznych w tym mieście. Teraz wiemy, które agencje są dobre. Odwiedzamy agencję z pierwszej piątki na liście i okazuje się, że wszystkie mają taki sam plan. Wybieramy agencję, która po targowaniu zaoferowała nam najlepszą cenę (58\$ za 3 dni, zniżka dla studentów :)

Teraz możemy spokojnie zjeść kolację. Kupujemy zestaw, który składa się z krupniku i schabowego (po hiszpańsku milanesa). Po zachodzie słońca w Uyuni jest strasznie zimno, trzeba chodzić w czapce i rękawiczkach. Ludzie w biurach turystycznych grzeją się przy gazowych piecykach. Podobno w nocy jest około -7 stopni. Tupiza była na podobnej wysokości (prawie 4000 m.n.p.m.), ale nie było tam tak zimno. Jednak tu jesteśmy w środku pustyni, na której w dzień jest bardzo gorąco a w nocy bardzo zimno. Teraz wiemy dlaczego recepcjonista chwalił się, że mają ogrzewanie w hotelu. Jednak kaloryfer w naszym pokoju był na gaz i go wyłączyliśmy bojąc się zatrucia. Z kranu leci tylko zimna woda, na szczęście pod prysznicem jest ciepła. Śpiemy w śpiworach, przykryci kocami, ubrani w polary. Jakoś trzeba przeżyć ten mróz...

09.07.2006, niedziela, Uyuni->San Pedro (km 4560)

W pobliskiej restauracji jemy śniadanie amerykańskie (chleb, dżem, jajka, kawa lub herbata), które kosztuje tyle samo ile obiad, ale i tak jest tanie (1\$). W Boliwii na wszystko nas stać, bo jest tu bardzo tanio. Wyjazd na wycieczkę na Salar de Uyuni i laguny jest dopiero o 11:00. Jedziemy terenową Toyotą Land Cruiser, w której jest 7 miejsc oprócz kierowcy. Jedzie z nami starsze małżeństwo Hiszpanów, Australijka, Irlandczyk i Anglik. Najpierw jedziemy na cmentarz pociągów (cemetario de trenes), gdzie oglądamy stare lokomotywy na tle pustyni. Następnie jest wioska Colchani, gdzie oglądamy obróbkę soli, która jest później pakowana w foliowe worki i sprzedawana. Atrakcją turystyczną jest także mała lama, która pije mleko z dziecięcej butelki ze smoczką. Lama ma bardzo miękkie futerko, jak owieczka. Jedziemy dalej i wjeżdżamy na Salar de Uyuni, czyli największą solną pustynię na świecie. Wygląda jakbyśmy jechali po lodzie, bo sól jest tak biała, że trzeba mrużyć oczy. Oczywiście nie ma żadnej roślinności. Jest to jedno z najciekawszych i najpiękniejszych miejsc na świecie, w których byliśmy. Najpierw zatrzymujemy się przy miejscu, w którym znajdują się kopce soli. Prawdopodobnie stąd trafia sól do Colchani. Kolejnym punktem programu jest hotel z soli (Hotel del Sal), w którym ściany, podłoga, łóżka i krzesła są w całości z soli. Nas bardziej zainteresowały iluzyjne zdjęcia, które można zrobić wykorzystując płaskie i białe tło pustyni. Najpierw my robimy zdjęcia innym turystom, później oni robią nam. Ruszamy w dalszą drogę i oglądamy zdjęcia. Zdjęcia są bardzo śmieszne i już mamy pomysły na kolejne. Dojeżdżamy do Isla de Pescados, czyli wyspy ryb. Są to skały w środku pustyni, na których wyrosły głównie kaktusy. Kaktusy są ogromne, niektóre mają po 10 metrów. Podobno mają one 200-400 lat. Wejście na szczyt wyspy nie jest proste, ponieważ ciężko się wspina na tej wysokości, brakuje tlenu. Z góry widzimy kolejne samochody, które wyglądają jak resoraki na lodzie. Robimy kolejne „trickowe” zdjęcia, które wychodzą jeszcze lepiej niż poprzednie. Następnie wraz z ludźmi z naszego samochodu jemy obiad na świeżym powietrzu. Ostatnim punktem naszej dzisiejszej wycieczki jest jaskinia diabła (Cueva del Diablo), w której oglądamy stalaktyty. Pamiętamy z wycieczek do np. Jaskini Niedźwiedziej, że stalaktyty wymagają specjalnego mikroklimatu i odpowiedniej temperatury. Tutaj tego nie zapewniono. Jedziemy do San Pedro, oglądając po drodze zachód słońca. Będziemy nocować w San Pedro, w hotelu, w którym nie ma ogrzewania i ciepłej wody. Na początek, żeby się ogrzać dostajemy ciepłą herbatkę. Po godzinie jest kolacja, na którą dostajemy zupę i zapiekankę. Dopiero teraz widzimy, że słońce ostro nam przypiekło twarz. Ubrani w polary, rękawiczki i czapki, przykryci śpiworem i kocami, idziemy spać.

## 10.07.2006, poniedziałek, San Pedro->Laguna Colorada (km 4790)

Jemy śniadanie i o 8:30 wjeżdżamy w stronę granicy z Chile. Po drodze oglądamy ośnieżone szczyty gór. Pierwszą atrakcją są ogromne skały powulkaniczne, między którymi pasie się stado dzikich lam. Następnie przejeżdżamy kolejną solną pustynię, ale już nie tak wielką i białą jak Salar de Uyuni. Zatrzymujemy się przy torach sławnej kolei z Boliwii do Antofagasty w Chile, przecinających solną pustynię. Kolej już tędy nie jeździ a pociągi, które tędy jeździły, oglądaliśmy na cmentarzysku pociągów. Jedziemy dalej, mijając wulkan, z którego dymi. Dojeżdżamy do punktu widokowego, który otoczony jest kilkoma ośnieżonymi górami. Dzisiaj oglądamy tyle ciekawych i różnorodnych miejsc, które nam się bardzo podobają. A okazuje się, że to dopiero początek. Przed nami jeszcze laguny (jeziora). Pierwsza jest Laguna Cañapa, która otoczona jest ośnieżonymi szczytami a w jeziorze pływają ptaki. Przy lagunie jemy obiad wspólnie z ludźmi z naszego samochodu. Kucharka jedzie w drugiej Toyocie, ponieważ z naszego biura jadą dwa samochody. Następnie jedziemy do Laguny Hedionda, która jest częściowo skuta lodem i po której chodzą setki flamingów odbijających się w wodzie. Myśleliśmy, że flamingi lubią ciepło a nie lód. Teraz czeka nas długa droga. Podjeżdżamy pod górę, za którą krajobraz zmienia się całkowicie. Rozpoczyna się pomarańczowa pustynia, której część zwana jest Pustynią Salvadora Dali, z powodu ciekawych formacji skalnych i kolorowych skał. Dojeżdżamy do miejsca, w którym znajduje się interesująca skała w kształcie drzewa (Arbol de Piedra). Po sesji zdjęciowej jedziemy do ostatniej dzisiaj atrakcji, Laguny Colorada. Jesteśmy na wysokości 4278 m.n.p.m., wieje silny wiatr przez co jest strasznie zimno. Jednak widok zatyka nam dech w piersiach. Woda miejscami ma różowy kolor, jakby dopasowała się do flamingów pływających po jeziorze.

Słońce zaczyna zachodzić a my jedziemy do hotelu znajdującego się 30 minut od Laguny Colorada. Oczywiście ogrzewania i ciepłej wody nie ma. Znowu dostajemy ciepłą herbatę i ciastka a godzinę później kolację. Tym razem jest zupa i spaghetti, w którym jest mięso z lamy. Mięso jest jak guma i nam nie za bardzo smakuje. Noc będzie zimniejsza niż poprzednie, ale jesteśmy gotowi. Najciekawsze jest to, że teraz w Polsce temperatury dochodzą do 40 stopni a my tu marzniemy.

## 11.07.2006, wtorek, Laguna Colorada->Uyuni (km 5290)

Wstajemy o 5:00. W nocy w naszym pokoju było poniżej 0 stopni, bo szyby zamarzyły od środka. Nic dziwnego, jak na zewnątrz było -10 stopni i nie ma ogrzewania. Ale jakoś to przeżyliśmy. Ja spałem w czapce, szaliku i rękawiczkach. Pakujemy się po ciemku, bo nie ma prądu. Wstaliśmy tak szybko, bo jedziemy do gejzerów, które najlepiej oglądać o wschodzie słońca. Wyjeżdżamy jeszcze po ciemku. Za nami i przed nami inne samochody, z innych biur turystycznych, które towarzyszą nam od pierwszego dnia. Wszystkie grupy jadą tą samą trasą i nawet jedzą to samo. Jednak, gdy mijamy zepsuty samochód to cieszymy się, że jedziemy z dobrym biurem. Gejzery świszczą jak czajnik. Szybko robimy zdjęcia i chowamy się do samochodu, bo jest strasznie zimno. Nasi współtowarzysze nawet nie wysiadają przy kolejnych gejzerach. Zaczyna się rozjaśniać a my wjeżdżamy na przełęcz na wysokości 5000 m.n.p.m. Następnie jedziemy w dół do gorących źródeł (aguas termales), gdzie można się wykąpać w gorącej wodzie. Wejść do wody to nie problem, gorzej z niej wyjść. Decydujemy się nie wchodzić, bojąc się przeziębienia. Widzimy jak ludziom wychodzącym z gorących źródeł zamarzają włosy na głowie. W tym miejscu jemy także śniadanie a raczej pijemy herbatę na śniadanie, bo tym razem nie ma za bardzo co jeść, dlatego że np. ciężko jeść płatki bez mleka i talerza. Ruszamy w dalszą drogę i dojeżdżamy do Laguny Verde. Widok jest rewelacyjny, w zielonej wodzie jeziora odbija się wulkan Lincacabur. Następnie dojeżdżamy do granicy Chile, przy której wysiadają Hiszpanie z naszego auta. Przyjedzie po nich samochód, który zabierze ich do San Pedro de Atacama w Chile. My wracamy w kierunku Laguny Colorada, mijając po drodze Lagunę Blanca, która swoją nazwę zawdzięcza faktowi, że jest prawie w całości pokryta lodem. Obiad jemy przy Lagunie Colorada, oglądając przeciwny brzeg niż wczoraj. Wciąż jesteśmy pod wrażeniem tego koloru. Jeszcze około 3 godziny jazdy i jesteśmy w Uyuni. Przez 3 dni przejechaliśmy około 1000 km, ale naprawdę było warto. W Uyuni już się ściemnia. Szukamy

hotelu i ku naszemu zaskoczeniu hotele przy głównej ulicy są pełne. Rzadko się zdarza, ale nie ma problemu, bo znajdujemy całkiem dobry hotel na równoległej ulicy.

### 12.07.2006, środa, Uyuni->Potosi (km 5500)

Idziemy na śniadanie. O 10:00 mamy autobus, na który kupiliśmy wczoraj wieczorem bilety. Mamy do przejechania tylko 210 km, ale po drodze znowu będą góry, serpentyny i przeпаście. Oczywiście asfaltu nie ma. Siedzimy na końcu autobusu, gdzie więcej trzęsie. Dodatkowo przez szpary w oknach dostaje się piasek, który później mamy między zębami. Po drodze znowu autobus się psuje. Mijają nas inne autobusy, ale nasz kierowca je później dogania i wyprzedza. Dzięki temu dojeżdżamy do Potosi o 16:00, po „jedynie” 6 godzinach jazdy. Magda zostaje z plecakami a ja idę kupić bilet do La Paz. Autobus miał być z firmy Flota Copacabana, ale zmyliła mnie podobna nazwa i kupiłem na Flota Chalapata. Przez to będziemy musieli się przesiąść do kolejnego autobusu w Oruro. Następnie jedziemy miejskim busikiem do centrum, gdzie znajdujemy hotel. Później idziemy na miasto i kupujemy wycieczkę do kopalni srebra, co jest główną z atrakcji Potosi. Jemy zestaw obiadowy; dostaliśmy krupnik i kurczaka z ryżem, co jest standardem na południu Boliwii. Na miejscowym targu próbujemy emoliente (gorąca, bardzo słodka, ziołowa herbata). Herbata ta jest szczególnie popularna w Boliwii i Peru, gdzie będziemy ją bardzo często pić. W Potosi zdziwiła nas ilość ludzi, którzy wieczorem chodzili po ulicach. Poprzednie miasta w Boliwii były małe a ulice prawie puste. Potosi wieczorem tętniło życiem.

### 13.07.2006, czwartek, Potosi->Oruro (km 5760)

Potosi jest miastem położonym na zboczu góry. Leży na wysokości 4090 m.n.p.m., przez co jest najwyższym miastem na świecie swoich rozmiarów. W XVI wieku było to największe miasto na świecie. Obok miasta znajduje się Cerro Rico (Bogata góra), w której znajdują się kopalnie srebra. Po śniadaniu, udajemy się na wycieczkę właśnie do jednej z kopalni. Najpierw przebieramy się w pełny strój górnik, czyli kask z lampą, górę, spodnie i gumowce. Następnie składamy się na prezenty na górników, ponieważ kopalnia jest czynna i wciąż pracują w niej ludzie. Nasz przewodnik jest byłym górnikiem. Przewodnik kupuje dla górników gazowane napoje i liście koki. Dostajemy także liście koki do zucia, co ma nam pomóc na chorobę wysokościową. Nie za bardzo nam to smakuje. Ja robię sobie zdjęcie z laską dynamitu, który można tu bardzo tanio kupić (1\$). Kilka tygodni później, oglądając telewizję CNN w Wenezueli, słyszymy, że złapano na lotnisku Amerykanina, który leciał z Boliwii do USA i miał przy sobie dynamit. Tłumaczył się, że kupił go na prezent. My byśmy mu uwierzyli w wyjaśnienia, ale ciekawe, czy inni dali się przekonać.

W kopalni pracuje się jak 100 lat temu. Górnicy wiercą dziury w skałach, do których wsadzają dynamit. Po wybuchu skały trafiają do wózków, które ręcznie pchane, trafiają na zewnątrz kopalni. Tam skały są rozbijane na mniejsze. Poszukuje się wśród nich srebra. Oczywiście wszystko robi się ręcznie. Kilka godzin chodzimy po kopalni. Co jakiś czas musimy ustąpić miejsca górnikom, którzy pchają wózek. Po drabinach wchodzimy także na wyższe pokłady. Jest strasznie duszno, kurzy się a my pocimy się w tym grubym, brudnym ubraniu. Oglądamy nawet wiercenie dziury w skale i wsadzenie dynamitu, który po południu ma być wysadzony. Dużo trudniejsze niż wejście jest zejście z górnych pokładów. Nie ma żadnych zabezpieczeń i można sobie zrobić dużą krzywdę.

Jeżeli chodzi o górników to najmłodszy mają 12 lat, gdy zaczynają tu pracować. Sami widzieliśmy 15-letniego chłopca, który pracuje tu już 3 lata. Na wakacje dużo studentów dorabia pracując w kopalni. Górnicy są tu bardzo przesądni. W kopalni nic nie jedzą, piją tylko napoje i żują liście koki, bez których nie wytrzymałoby 10-12 godzin pracy. Boją się, że jedzenie w kopalni przyniosłoby im pecha. Tak samo jest z kobietami, które oprócz turystek nie mają wstępu do kopalni. Górnicy mają swojego kopalnianego bożka. Oglądamy specjalną „kapliczkę”, która jest miejscem kultu bożka. Podobno możemy sobie pomyśleć życzenie i ono się spełni. Nasz przewodnik żartując życzy sobie, żeby przyjeżdżało więcej Japończyków, bo są niscy i nie muszą



uważać na głowę w kopalni. Dla nas ich bożek wygląda jak diabeł. Ciekawe, bo Boliwia to mocno katolicki kraj, ale widocznie nie wszystkie pogańskie wierzenia ustąpiły. Opuszczając kopalnię, na ścianach wejściowych oglądaliśmy ślady po lamiej krwi, która została tam po jakimś obrzędzie.

Po 13:00 jesteśmy już przebrani, w centrum Potosi. Niedawno zaczęła się sjesta i wszystko jest zamknięte. Chodzimy z naszym książkowym przewodnikiem po mieście, szukając kolonialnych domów. Następnie jemy obiad i idziemy do Casa de Moneda, czyli mennicy. W czasach kolonialnych w Ameryce Łacińskiej były tylko 3 mennice: w Meksyku, Limie i Potosi. Obecnie Casa de Moneda to muzeum sztuki, minerałów. Tylko część kolekcji stanowią monety i maszyny służące do wyrobu monet. Zwiedzanie całości zajęło na 90 minut z przewodnikiem (po hiszpańsku). Następnie zaczęliśmy zwiedzać pobliskie kościoły, ale prawie wszystkie były zamknięte. Potosi, jak na miasto wpisane na listę UNESCO, trochę nas rozczarowało. Wczoraj i dzisiaj zwiedziliśmy także wszystkie znane restauracje w Potosi. Został nam tylko Chaplin, w którym mają być „najlepsze tucumanos w mieście”. Nie udaje nam się tego sprawdzić, bo tucumanos podają tylko rano. Tucumanos to jakieś ciastko lub naleśnik, które pewnie przybyło z Tucuman w Argentynie. O 20:45 wyjeżdżamy autobusem do Oruro.

#### 14.07.2006, piątek, Oruro->La Paz (km 5960)

Przed 3:00 w nocy jesteśmy w Oruro. O 3:30 jedziemy już następnym autobusem do La Paz, gdzie jesteśmy o 6:30. Tym razem jechaliśmy większym autobusem. Także drogi do stolicy były lepsze, bo nie było gór. Na dworcu autobusowym spotykamy dwójkę Polaków, z którym chwilę rozmawiamy. Jedziemy do centrum, gdzie znajdujemy hotel. W agencji turystycznej kupujemy bilety na autobus do Rurrenabaque.

La Paz, jak większość miast w Andach, leży w dolinie. Jest to najwyższa stolica na świecie. Stare miasto leży w środku doliny, na wysokości około 3600 m.n.p.m. Nowe miasto zbudowane jest na zboczach doliny, sięgając do ponad 4000 m.n.p.m. Pomimo tego, że miasto jest ogromne, centrum jest dość małe i da się je zwiedzać na pieszo. Zaczęliśmy zwiedzać La Paz od rynku, gdzie znajdują się kolonialne budynki. W mieście widać dużo Indianek w narodowych strojach. Są także faceci ubrani w kolorowe koce i w czarne czapki. Zauważyliśmy, że zbliża się jakieś święto państwowe, bo jest dużo flag. Następnie udaliśmy się w stronę głównej ulicy miasta, czyli Prado, w stylu europejskim, przy której znajduje się wiele znanych sklepów. Tu trafiliśmy na pochód, któremu przewodzi orkiestra dęta. Naszym kolejnym celem był targ wiedz. Na targu można głównie kupić indiańskie wyroby i turystyczne pamiątki. Jednak widzimy także suszone żaby, pancerniki i płody lam. Nawet nie chcemy widzieć po co to komu potrzebne. Następnie wracamy na ulicę Prado, gdzie trafiamy na protest/blokadę przeciwko zatrutowaniu wody w jeziorze Titicaca. Widać protestowanie ma w Boliwii silną tradycję, bo z tego co czytaliśmy to chyba każdy, kto był w Boliwii trafił na jakiś protest czy blokadę. Chodząc po mieście czujemy, że mamy zakwasy po wczorajszej wycieczce do kopalni. Najbardziej cieszy nas cena soków ze świeżych owoców i koktajli z mlekiem (liquado) równa w przeliczeniu 80 gr za dużą szklankę. Dzisiaj wypiliśmy po 3 soczki na głowę i będziemy pić te soki przez resztę Boliwii oraz Peru i Ekwador, gdzie będzie trochę drożej.

Po zwiedzeniu centrum La Paz jedziemy busikiem na przedmieścia, gdzie znajduje się Valle de la Luna (Dolina Księżycowa) z ciekawymi formacjami skalnymi. Dojazd i zwiedzanie zajmuje nam prawie 3 godziny. Po powrocie idziemy na almuerzo, na które dostajemy krupnik oraz do wyboru kotlet lub parówkę z kurczaka. Na deser jest jeszcze galaretka. Gdy zaczyna się ściemniać, ludzie wychodzą na ulicę, rozkładają się stragany. My za to idziemy spać, żeby odespać słabo przespaną noc w autobusie.

#### 15.07.2006, sobota, La Paz->Rurrenabaque (km 6380)

Postanowiliśmy wczoraj, że zjemy śniadanie w restauracji koło naszego hotelu. Rano restauracja okazała się zamknięta i zaczęliśmy szukać jedzenia po całym mieście. Nic ciekawego nie

znaleźliśmy. Gdy już wracaliśmy okazało się, że w międzyczasie otworzyli wypatrzoną przez nas restaurację. Zjedliśmy całkiem smaczne kanapki na gorąco i zabraliśmy plecaki z hotelu. Następnie pojechaliśmy do dzielnicy Villa Fatima, skąd odjeżdżają autobusy do Rurrenabaque. Autobus miał wyjeżdżać o 11:30, jednak zauważyliśmy, że nikomu tu się nie spieszy. Po 12:00 miejscowi zaczęli krzyczeć na kierowcę, żeby wpuścił ludzi do autobusu i żebyśmy odjeżdżali. Odjechaliśmy z ponad godzinnym opóźnieniem, ale kto by się przejmował takim opóźnieniem na 18 godzinnej trasie.

Zgodnie z tradycją w krajach bez asfaltu, wjechaliśmy jeszcze autobusem na stację benzynową, gdzie zatankowaliśmy. Następnie podjechaliśmy 400 m do góry, na szczyt doliny, w której znajduje się centrum La Paz. Po drodze był jeszcze krótki przystanek obiadowy, na którym można było przez okno kupić np. kurczaka z ryżem. Przejechaliśmy kilkanaście kilometrów i wjeżdżając na przełęcz La Cumbre (4725 m.n.p.m.), gdzie pogoda zmienia się radykalnie. Pojawiła się mgła i jest strasznie zimno. Od tego momentu zaczyna się tzw. „droga śmierci”. Codziennie rano kilkudziesięciu rowerzystów za spore pieniądze zjeżdża tędy w dół, co jest jedną z największych atrakcji La Paz. Później rowery trafiają na dach mikrobusu i turyści wracają do stolicy. My jedziemy zbyt późno, żeby zobaczyć rowerzystów. Też zastanawiam, się nad zjazdem rowerem, ale te ciężarówki jadące z naprzeciwka i ten kurz są trochę odstrasżające.

„Droga śmierci” ma około 80 kilometrów, podczas których zjeżdża się ponad 3400 m w dół do miejscowości Coroico. Przez pierwsze 30 km „droga śmierci” jest asfaltowa a przepaście są po prawej stronie. Magda jest zadowolona, bo my siedzimy po lewej stronie i oglądamy góry. Po 30 km jest punkt kontrolny, gdzie trzeba wysiąść z autobusu. Zobaczyliśmy ciekawy widok jak żołnierz przeszukując bagaże wsadził głowę do torby i wąchał. Widocznie szukał narkotyków. Biedny kraj, bo u nas takie coś robią psy. Po punkcie kontrolnym kończy się asfalt. Zjeżdżamy cały czas w dół i jest coraz cieplej. Zmienia się także roślinność, jest coraz bujniejsza, w Coroico jest już dżungla. Mgła powoli ustępuje i zaczynamy oglądać przepaście, które są po lewej stronie autobusu, czyli tam, gdzie siedzimy. Droga jest tak wąska, że nie mieszczą się dwa samochody. W celu poprawienia bezpieczeństwa obowiązuje ruch lewostronny i samochód jadący z góry staje, aby przepuścić samochód jadący po górę. Nie odważylibyśmy się tedy jechać, gdyby padał deszcz. Pikanterii dodają krzyże, które czasami pojawiają się przy drodze. Kilka tygodni później oglądaliśmy telewizję, gdzie pokazywali wypadek na „drodze śmierci”. Autobus tej samej firmy, którą jechaliśmy, może nawet ten, którym jechaliśmy spadł w przepaść i zginęło kilkudziesięciu pasażerów. Ten fakt i te 18 godzin jazdy może tłumaczyć, dlaczego większość turystów wybiera przelot samolotem. My jednak jesteśmy z Polski i podróżujemy najtaniej jak się da.

W Coroico jest pięciominutowy przystanek, na którym sprzedają tylko mandarynki. Skąd oni mają mandarynki, jak nie widzieliśmy żadnego drzewa z mandarynkami. Jesteśmy w dole i dalsza podróż odbywa się wzdłuż rzeki. Jednak cały czas jesteśmy w górach. Mijamy kilka wodospadów, których woda wylewa się na drogę. Widzimy też budowane mosty, które wkrótce będą omijały niebezpieczne miejsca, jak te wodospady. Później się ściemnia i jedyne co widzimy to światła mijających nas czasami samochodów. Kierowca bardzo poważnie wziął się za odrobienie opóźnienia z którym wyjechaliśmy. Lecz jego pomysłem było nie robienie przystanków. Kobiety były na niego strasznie złe, bo zrobił przystanek dopiero po 9 godzinach od wyjazdu, czyli w połowie drogi.

## 16.07.2006, niedziela, Rurrenabaque->Rio Yacuma (km 6500)

Do Rurrenabaque, które leży tylko na 400 m.n.p.m., przyjechaliśmy o 6:30. Jechało nam się jakoś lepiej niż na południu Boliwii. Może przez to, że przywykliśmy. Tym razem jechaliśmy też normalnym, dużym autobusem, w którym mniej trzęsie. Mamy nadzieję, że uda nam się jeszcze dzisiaj dołączyć do wycieczki do dżungli, żeby nie stracić jednego dnia. I wszystko się dobrze układa, bo już na dworcu autobusowym (a raczej miejscu, skąd odjeżdżają autobusy) spotykamy przedstawiciela jednego z kilkudziesięciu tutejszych biur podróży. Jesteśmy zdziwieni, bo mówi dobrze po angielsku, od czego się odzwyczailiśmy. Jedziemy do jego biura, gdzie oglądamy na

komputerze zdjęcia z wycieczki do dżungli i na pampy (bagna). Wycieczki są trzydniowe, ale szkoda nam tylu dni, więc musimy wybrać jedną z wycieczek. Z opisu w przewodniku i zdjęć bardziej podoba nam się wycieczka na pampy. Jak codziennie w sezonie, dzisiaj także odbywa się wycieczka na pampy. Wiemy, że jest już zapisanych 6 osób, co zwykle wróży niższą cenę. I rzeczywiście, udaje nam się stargować cenę do 50\$, co za 3 dniową wycieczkę z przejazdem i wyżywieniem nie jest drogo.

Mamy czas do 9:00, kiedy rozpoczyna się wycieczka, więc idziemy do restauracji na śniadanie. O 9:00 wyjeżdżamy samochodem terenowym w stronę rzeki Yacuma. Naszymi towarzyszami jest Meksykanin, para Argentyńczyków i czwórka młodych Anglików, którzy uczyli angielskiego dzieci w Gujanie. Koło 12:00 dojeżdżamy do Santa Rosa, gdzie mamy obiad. Restauracja znajduje się w ogródku, w którym mieszkają także różne ptaki, papugi, tukan, małpka, świnia. Jeszcze kawałek jazdy samochodem i dojeżdżamy nad brzeg rzeki, gdzie czekamy na łódkę z turystami wracającymi z wycieczki. Mamy dużo czasu. Przy brzegu pływają różowe, małe, rzeczne delfiny. Mieliśmy takie oglądać w Kambodży, ale wtedy się nie udało. Ciężko zrobić im zdjęcie, bo nie wiadomo, gdzie się wynurzają, a jak się wynurzają to i tak widać tylko tylną płetwę.

Okolo 14:00 wypływamy. Rio Yacuma jest jednym z dopływów Amazonki. Po drodze oglądamy dziesiątki krokodyli. Dowiadujemy się, że krokodyle dzielą się na aligatory i kajmany. Kajmany są większe i ciemniejsze. Rzeczywiście, gdy zobaczyliśmy pierwszego kajmana, to zrobił na nas duże wrażenie. Do tej pory nie widzieliśmy takiego dużego krokodyla. Oczywiście kajmanów jest tu dużo mniej niż aligatorów. Oprócz krokodyli jest dużo ptaków i żółwi grzejących się na kłodach leżących w wodzie. Widzimy też kilka tapirów i małe, żółte małpki. Na początku zatrzymujemy się przy każdym krokodylu i żółwiach, ale powoli się przyzwyczajamy i po dwóch godzinach przepływamy przy krokodylach z pełną prędkością. Okazuje się, że to krokodyle boją się ludzi a nie my ich, bo gdy podpływamy do nich bliżej to uciekają. Żółwie też nie boją się aligatorów, wylegając się z nimi na tym samym brzegu.

Już się ściemnia, gdy dopływamy do naszego obozu. Oczywiście prądu nie ma i trzeba się wspierać latarką lub świeczką. Na kolację jest bardzo dobre spaghetti. Po kolacji wypływamy łódką na nocne polowanie na małego aligatora. Noc jest bardzo piękna, na niebie widać ogromnie dużo gwiazd. Przewodnik grzebie coś w zaroślach i wyciąga małego, jednorocznego aligatora. W nocy aligatory śpią, dlatego możemy go dotknąć. Większy aligator mógłby się wyrwać i zrobić nam krzywdę. Płyniemy dalej. Świecąc latarkami po zaroślach widzimy krokodyle, które można poznać po pomarańczowych refleksach światła odbijających się od oczu krokodyli. Do jednego, dużego aligatora udaje nam się podpłynąć na odległość dwóch metrów.

### 17.07.2006, poniedziałek, Rio Yacuma (km 6510)

Po śniadaniu ubieramy kalosze i idziemy na pampę, gdzie mamy szukać anakondy. Na początku idziemy przez trawę wysoką do pasa. Później wchodzimy w bagna. Widzimy pasące się krowy i konie. Już wiemy, że pomimo kaloszy będziemy cali brudni. Magda ma za małe buty i kilka razy gubi kalosze oraz wpada w błoto. Bardzo ciężko chodzi się po bagnie i jesteśmy cali spoceni. Nasz przewodnik szuka anakondy w wodzie po kolana. My w tym czasie przyglądamy się i odpoczywamy siedząc. Podobno naszemu przewodnikowi udało się znaleźć tak dużą anakondę (trzymetrową), że nie jest w stanie jej złapać. Wracamy inną drogą, przez dżunglę, bo jest południe i jest strasznie gorąco. W dżungli oglądamy ciekawe drzewa i liany. Trzeba uważać, bo gryzą komary. Dochodzimy do obozu, gdzie dostajemy ogromny obiad. Na obiad jest kurczak, frytki, ryż, puree, grzyby, mizeria, fasolka z marchewką, buraczki oraz kalafior z brokułami. Na deser są jeszcze pomarańcze. Jesteśmy pod wrażeniem, zwłaszcza że obiad został zrobiony w dżungli, na polowej kuchni. Młodzi Anglicy cieszą się, jakby od kilku miesięcy nie jedli tak porządnego obiadu. Po obiedzie płyniemy szukać różowych delfinów. Ja zostaje na łódce i próbuje zrobić zdjęcie delfinom. Magda i pozostali ludzie wskakują do wody, pomimo tego, że 20 m od nas leżą na brzegu aligatory. Przewodnik mówi, że gdy w pobliżu są delfiny to nie ma aligatorów w wodzie.

Następnie płyniemy w dół rzeki, w miejsce, w którym mają być piranie. Dostajemy żyłkę, haczyk i mięso i próbujemy łowić piranie. Mięso powoli znika nam z haczyka. Udaje nam się złapać jedynie małe rybki. Ale naszemu przewodnikowi i jednemu z Anglików udaje się złapać kilka piranii. Rybki są bardzo ładne, ale mają ostre ząbki. Piranie zabieramy ze sobą i dostajemy je smażone na kolację wraz ze smażonymi bananami. Oprócz tego na kolację jest makaron z sosem ahi, który jest podobny to sosu pomidorowego. W międzyczasie przyплыли następni turyści, w większości Izraelczycy. W nocy będą szukać krokodyla.

### 18.07.2006, wtorek, Rio Yacuma->Rurrenabaque (km 6630)

Przed śniadaniem przewodnik pokazuje nam jak robić naszyjnik z rzeczy rosnących w dżungli. Każdy z nas dostaje w prezencie naszyjnik. My idziemy na śniadanie a przewodnik kończy ostatnie naszyjniki, bo w naszej grupie jest aż 9 osób. Po śniadaniu wypływamy w drogę powrotną. Widzimy to co ostatnio, czyli setki krokodyli, żółwi, ptaków i rodzinę tapirów. Bola już nas tyłki od tej łódki. W jednym miejscu zatrzymujemy się oglądać różowe delfiny. Tym razem nikt nie pływa w wodzie i delfiny podplwają bardzo blisko łódki. Po drodze jest też przystanek na obiad, w innym obozie. Po 14:00 wyjeżdżamy samochodem terenowym do Rurrenabaque a inna grupa odpływa łódką do naszego obozu. O 17:00 jesteśmy w Rurre, gdzie zostajemy w tanim i ładnym hotelu Madidi. Później idziemy zobaczyć port. Na kolację jemy pizzę (droga, ale mieliśmy ochotę) i pijemy naturalne soczki.

### 19.07.2006, środa, Rurrenabaque->La Paz (km 7050)

Po doświadczeniach z 9 godzinami jazdy bez postoju postanowiliśmy zrezygnować z usług firmy Turbo Totai i pojechać firmą Yungeña. Okazało się jednak, że w La Paz były strajki i dzisiaj nie będzie autobusu z Yungeña. O 10:30 wyjeżdżamy bez opóźnienia do La Paz. Tym razem jedzie z nami dużo białych, część ludzi z naszej wycieczki na pampę. Postojów też jest dużo więcej np. 30 min na obiad i aż 50 min na kolację. Najgorszą część trasy, czyli „drogę śmierci” przejeżdżamy w nocy, więc nic nie widać.

### 20.07.2006, czwartek, La Paz->Tiahuanaco (Tiwanaku) ->Copacabana (km 7220)

O 6:00 jesteśmy w La Paz. W ciągu 20 godzin jazdy wjechaliśmy z wysokości 400 m.n.p.m. na wysokość 4000 m.n.p.m. Jest to chyba głównym powodem złego samopoczucia Magdy (choroba wysokościowa). Przez te kilka dni odzwyczailiśmy się od dużych wysokości.

Jedziemy na Cementerio, bardzo niebezpieczną dzielnicę La Paz. Stąd chcemy jechać do Tiahuanaco a później do Copacabany. Dowiadujemy się, że dzisiaj są blokady na drodze do Copacabany i nie ma przejazdu do Copacabany. Jednak możemy zwiedzić najslawniejsze ruiny w Boliwii, czyli Tiahuanaco (Tiwanaku). Znowu wyjeżdżamy z La Paz. Wjeżdżamy na szczyt doliny, z której jest doskonała panorama na miasto a w tle ośnieżone szczyty gór. W Tiahuanaco jesteśmy po 8:00, ale musimy czekać do 9:00 na otwarcie. W tym czasie idziemy na miasto zjeść śniadanie. Dowiadujemy się także, że rzeczywiście są na dzisiaj planowane blokady, ale możemy dojechać do Copacabany przez Peru. Moje samopoczucie też się pogarsza, chyba mnie też dopadła choroba wysokościowa. Dodatkowo okazuje się, że wstęp na ruiny podróżował trzykrotnie do 10\$.

Zwiedzamy ruiny, które przy np. ruinach w Meksyku, są bardzo słabe. W zasadzie jest tylko brama słońca, jeden fajny, duży posąg i świątynia. Większość fajnych rzeczy jest wywiezionych do muzeum, które znajduje się przy wejściu. W muzeum, które zwiedzaliśmy później, jest już trochę ciekawych posągów i rzeczy z wykopalisk. Za to nie można robić zdjęć. Najciekawsze były stoiska archeologiczne, w których ludzie ręcznie kopią i przesiewają piasek. Archeolog zawsze bardziej kojarzył nam się z pędzelkiem niż łopatą, ale widocznie tu są inne standardy. W Tiahuanaco spotkaliśmy także trzech Polaków, którzy przyjechali do Boliwii kręcić jakiś reportaż dla telewizji.

Przed 12:00 wyjeżdżamy współdzieloną taksówką do Desguadero, granicy z Peru. Z La Paz do Peru jest asfaltowa droga. Jedziemy osobową toyotą kombi, jadąc chwilami aż 150 km/h. Odwykliśmy od takich prędkości. Dwie kobiety jadą w bagażniku, z jednym z naszych plecaków na kolanach. Nie skarżą się, widocznie to normalne. Koniec drogi jest trochę niebezpieczny, bo wszyscy miejscowi wysiedli a my zostaliśmy sami w taksówce wiedząc, że między La Paz a Copacabana porywają turystów.

Przekraczamy na pieszo granicę i już jesteśmy w Peru. Wymieniamy trochę pieniędzy i jedziemy busikiem do Chaua-Chaua, skąd mamy kolejny busik do Yunguyo, na granicy z Boliwią. Na granicy mamy problem, bo mamy peruwiańską pieczętkę z dzisiaj a podobno trzeba przebywać w Peru przynajmniej 24h. Boliwijczycy, którzy podróżują tak jak my, zostają przepuszczeni. Ale oni nie mają paszportu, tylko dowody osobiste, bez pieczętek w środku. Po 15 minutach próśb peruwiański celnik wypuszcza nas z Peru i jesteśmy znowu w Boliwii. Bierzymy kolejny busik i po przejechaniu 18 km jesteśmy w Copacabanie, mieście nad jeziorem Titicaca. Zatrzymujemy się w dość drogim jak na Boliwię Hotelu Mirador, który ma rewelacyjny widok z okna na jezioro. Hotel jest luksusowy i na razie najlepszy w jakim byliśmy podczas tej podróży. W cenie mamy nawet śniadanie. Następnie idziemy na miasto i jemy pizzę na kolację. Wciąż źle się czujemy, a ja nawet w nocy mam dreszcze.

### 21.07.2006, piątek, Copacabana->Isla del Sol->Copacabana (km 7280)

Na szczęście rano czujemy się lepiej niż wczoraj. Jemy śniadanie i o 8:30 płyniemy na Isla del Sol. Jezioro Titicaca jest najwyższym żeglugowalnym jeziorem na świecie. Jego nazwa wzięła się od kształtu, który Indianom przypominał pumę (Titi=puma, caca=szara). Na północ Wyspy Słońca (Isla del Sol) dopływamy przed 11:00. Wraz z wszystkimi ludźmi idziemy do ruin, które są niezbyt ciekawe. Stąd możemy wrócić do łódki lub przejść górami na południe wyspy, gdzie będzie czekać łódka. Magda płynie łódką a ja idę górami. Oglądam wspaniałe widoki wybrzeża z białymi szczytami w tle. Po drodze spotykam Indianki, które czekają z alpaka i lamą na turystów. Za drobną opłatą robię im zdjęcia. Po 3 godzinach trekkingu dochodzę do Schodów Inków. Stąd trzeba zejść kilkaset metrów w dół do portu, gdzie cumują łodzie. Po drodze mijają mnie turyści, którzy idą pod górę z plecakami. Widocznie będą tu nocować. Dobrze, że droga jest kręta i nie widzą ile jeszcze muszą wejść pod górę. Na dole Magda odpoczywa na trawie. O 15:30 wypływamy w stronę Copacabany. Niektórzy turyści, którzy wybrali się górami, ledwo zdążyli przed odpłynięciem. Po 17:00 jesteśmy z powrotem w Copacabanie, gdzie idziemy do katedry, ponieważ Copacabana jest także sławnym sanktuarium Matki Boskiej Gromnicznej. Katedra jest bardzo ładna. W katedrze wisi flaga papieska i obok boliwijska. Po zwiedzeniu katedry idziemy na kolację. Próbuje rybę truchę (trout po angielsku), która jest połączeniem pstrąga z łososiem.

Copacabana jest fajnym, ale też bardzo komercyjnym miastem. Ceny są tu wyższe niż w innych miejscach Boliwii. Na głównej ulicy są obok siebie dziesiątki restauracji, wszystkie z menu po angielsku, co jest niespotykane w Boliwii. Nigdzie w Boliwii nie widzieliśmy tak dużo turystów jak tu. Trzeba zauważyć, że jest tu także dużo turystów z innych krajów Ameryki Południowej (Brazylia, Peru, Argentyna).

### 22.07.2006, sobota, Copacabana->Puno (km 7400)

Jemy śniadanie w hotelu. Ostatni raz patrzymy na rewelacyjną panoramę jeziora z okna naszego pokoju. Idziemy na busik do Kasani, na granicy z Peru. Musimy czekać, aż busik się napełni, co następuje dość szybko. Granicę przekraczamy bez problemu, bo ją znamy. Byliśmy tu dwa dni temu. W Peru cofamy zegarek o godzinę do tyłu. Z granicy jedziemy około 3 km busikiem do centrum Yunguyo, skąd około 10:30 wyjeżdżamy autobusem do Puno. Prawie cały czas widzimy po prawej stronie jezioro Titicaca.

Około 13:00 jesteśmy w Puno, w największym peruwiańskim mieście nad jeziorem Titicaca. Po ciężkich targach jedziemy tricyklem (trzykołową taksówką z napędem nożnym lub

motorowym) do centrum. Trochę nam szkoda kierowcy, szczególnie jak jest pod górę, bo z tymi plecakami trochę ważymy a on musi pedałowac. Szybko udaje nam się znaleźć hotel. Następnie kupujemy na jutro wycieczkę na wyspy Uros oraz na wyspę Taquile. Pytamy się też o wycieczkę do Sillustrani, ale oglądając zdjęcia rezygnujemy z oglądania tych dwóch rozwalonych kamiennych wież. Mamy dużo wolnego czasu, więc jemy obiad oraz oglądamy zdjęcia i nagrywamy je na płytke CD. Podobno Peru miało być droższe niż Boliwia, ale ceny zestawu obiadowego są takie same jak w Boliwii a internet jest nawet tańszy. Następnie trafiamy na konkurs tańca miejscowych szkół. Muzyka jest monotonna, tańce wolne i podobne do siebie. Najlepiej podobają nam się odświętne stroje i taniec z zakrywaniem się ogromnymi chustami. Najśmieszniejsza za to była szkoła żeńska, w której występie kobiety tańczyły z kobietami przebranymi za mężczyzn.

Ujemną stroną Peru jest fakt, że próbowano nas dzisiaj trzy razy oszukać na cenach. Boliwia jest biedniejsza, ale takich praktyk tam nie spotkaliśmy. Zresztą to nie jest tylko nasza opinia, bo słyszeliśmy od innych turystów, że właśnie przez to im się Peru nie podobało.

### 23.07.2006, niedziela, Puno->Taquile->Puno->Cusco (km 7870)

Wstajemy o 6:00. Godzinę później z hotelu taksówka (wynajęta przez biuro turystyczne) zabiera nas do portu. W porcie okazuje się, że razem z nami płynie kilkanaście łódek, z około 30 osobami każda. Najpierw płyniemy na „pływające” wyspy Uros. Wyspy są unikalne, ponieważ powstały z udeptanej trzciny. Na wyspach stoją domy zbudowane z trzciny a w wodzie pływają łódki zbudowane z trzciny. Schodzimy na ląd i rzeczywiście pod nami ugina się trzcina. Za to pod trzcina jest kilkanaście metrów wody, czego dowodem jest pokaz opuszczania do wody kamienia na sznurze. Od przewodnika dowiadujemy się, że Indianie tu mówią w języku Quechua, który jest głównym językiem a niektórzy nawet nie znają hiszpańskiego. Kiedyś ludzie z Uros żyli z rybołówstwa a obecnie żyją głównie z turystów. Następnie wsiadamy na lekką, trzcinową łódkę, którą płyniemy na największą wyspę Uros, czyli Kamisaraki. Na Kamisaraki są fajne domki z trzciny, podobne do tipu.

Z wysp Uros płyniemy na wyspę Taquile. Wyspa Taquile słynie z tego, że mężczyźni robią na drutach a kobiety szepczą. Po dwóch godzinach dopływamy do wyspy. Następnie maszerujemy około godziny do rynku, który jest centrum wyspy. Linia brzegowa nie jest tu tak ładna jak na Isla del Sol. Za to dzisiaj mamy szczęście, bo jest niedziela i prawie wszyscy mieszkańcy są w rynku. Mężczyźni rzeczywiście robią na drutach i chodzą w kolorowych czapkach z pomponami na głowie. Podobno czerwona czapka oznacza, że mężczyzna jest żonaty. Kawalerowie powinni nosić czerwono-białe czapki. W kościele w rynku oglądamy obraz Madonny z dzieciątkiem Jezus, na którym obie postaci są Indiańskich rysów twarzy.

Na wyspie jest dużo restauracji, ale przewodnik prowadzi nas do swojej. Obiad jest drogi jak na Peru i nie ma wyboru (zupa i omlet lub trucha). W ramach protestu nic nie jemy, płyniemy do Puno, gdzie idziemy na tańszy i lepszy obiad. O 20:15 mamy autobus do Cusco. Jedziemy na dworzec tricyklem i znowu chcą nas oszukać, chociaż wsiadając ustaliliśmy cenę. Mamy kupiony wczoraj bilet na autobus Tour Peru, polecany w przewodniku. W okienku Tour Peru dostajemy bilet na San Luis, inną firmę. Już nam się to nie podoba. Mamy jeszcze godzinę do odjazdu, więc spokojnie czekamy. Po 8:00 zaczynają przyjeżdżać autobusy, które odjeżdżają o 8:15, ale San Luis wciąż nie ma. Dodatkowo dowiadujemy się, że podobno dzisiaj nie będzie autobusu z San Luis. O 8:20 godzimy się z faktem, że musimy kupić następny bilet na autobus z innej firmy. Ale przybiega kobieta, która pyta, czy kupowaliśmy bilet z Tour Peru. Powiedziała nam, że dostaliśmy bilet na zły autobus i nasz autobus już odjechał. Wsiadamy z nią do taksówki i doganiamy autobus na peryferiach miasta. Robimy niezłe zamieszanie zatrzymując autobus i dosiadając się. W środku ponad połowa turystów to biali. Na szczęście jedziemy do Cusco a autobus (firma Impexsa) jest całkiem wygodny, lepszy od autobusów w Boliwii.

24.07.2006, poniedziałek, Cusco (km 7880)

Mieliśmy jechać 8 godzin, ale już po 7 godzinach jesteśmy w Cusco. W Boliwii tyle kilometrów byśmy jechali 16 godzin. Do 5:00, czyli do świtu, możemy zostać w autobusie. Naczytaliśmy się dużo rzeczy o porwaniach turystów w tym mieście, więc razem z kilkoma innymi turystami korzystamy z tej oferty i próbujemy spać. O 5:00 wysiadamy z autobusu i trafiamy na kilka osób proponujących nam hotel. Początkowe oferty są bardzo drogie, ale w końcu znajduje się hotel w cenie niższej niż się spodziewaliśmy i to całkiem blisko centrum. Właścicielka wsadza nas do taksówki, za którą musimy zapłacić, a sama szuka innych turystów. Hotel jest całkiem znośny i po dwóch godzinach odpoczynku ruszamy zwiedzać dawną stolicę Inków. Zaczynamy od kupienia drogiego biletu turystycznego (22\$), na którym jest wstęp do 16 muzeów i ruin w Cusco i okolicach. Najlepsze, że później okaże się, że trzeba jeszcze kupić drugi, nietani bilet turystyczny (circuito religioso), uprawniający do wstępu do katedry i klasztorów.

Zaczynamy zwiedzać muzea z naszego biletu turystycznego. Jest ich pięć: sztuki, sztuki współczesnej, sztuki popularnej, regionalne i ruiny Qoricancha. W zasadzie muzea są nudne i nic ciekawego w nich nie ma. Z najciekawszych rzeczy dowiadujemy się, że już Inkowie żuli liście koki, które mają pomagać na chorobę wysokościową. Następnie zwiedzamy kościół oraz klasztor La Merced, gdzie płacimy kolejny wstęp. W rynku kupujemy circuito religioso, dzięki któremu wchodzimy do kościoła La Compañía de Jesus, skąd można podziwiać panoramę na rynek. Na ten sam bilet wchodzimy do katedry, która słynie z ogromnego, srebrnego ołtarza i obrazu „Ostatnia wieczerza”, na którym Jezus wraz z uczniami pożywia się świniką cuy, peruwiańskim przysmakiem. Szkoda tylko, że w większości miejsc nie można robić zdjęć. Z katedry udajemy się do jednego z najciekawszych miejsc w Cusco, czyli klasztoru Santo Domingo. Pomijam fakt potrzeby kupienia kolejnego biletu. Klasztor Santo Domingo zbudowany jest na fundamentach inkaskiej świątyni słońca (Qoricancha). W środku znajdują się ruiny tej świątyni, jest ciekawy krużganek i doskonały widok z tarasu na muzeum ruin Qoricancha. Stąd mamy najlepsze zdjęcia z centrum Cusco, bo tu można było robić zdjęcia.

Okazuje się, że nie tylko w Rio jest posąg Jezusa. Jedziemy autobusem pod posąg białego Jezusa (Cristo Blanco), który z pobliskiego wzgórza spogląda na miasto. Nie jest taki duży jak w Rio, ale i tak robi wrażenie. Wiemy jeszcze, że podobny posąg jest w Boliwii, w mieście o ciekawej nazwie Cochabamba. Obok Cristo Blanco są ruiny Saqsaywaman, które znajdują się bilecie turystycznym. Stąd oglądamy rewelacyjną panoramę na całe miasto. Po oglądnięciu ruin schodzimy stromą drogą w dół i dochodzimy do rynku. Zostały nam na oglądnięcia już mniej ciekawe rzeczy. Wybieramy sławną ulicę z murem z ogromnych kamieni, zbudowanym jeszcze przez Inków. Robimy zdjęcie Peruwiańczykowi przebranemu za Inka. Odwiedzamy jeszcze mały kościółek San Blas, polecany w naszym przewodniku.

Po wyczerpującym dniu chodzimy po mieście szukając almuerzo, z czym nie jest tu tak łatwo. Za to znalezienie drogiej restauracji z pizzą czy spaghetti nie jest żadnym problemem. W Cusco jest mnóstwo turystów, także ceny są wyższe niż w innych częściach Peru.

25.07.2006, wtorek, Cusco->Pisac->Ollantaytambo->Agua Calientes (km 8000)

Nie mamy za bardzo co jeść na śniadanie lub gdzie zjeść śniadania. W sklepie też nie ma za bardzo nic, więc kupujemy bułki i mortadelę (jamonada). Bierzymy plecaki i jedziemy autobusem do Pisac. O 10:30 jesteśmy na miejscu. Zostawiamy plecaki w przechowalni bagażu i idziemy na targ. Targ nam się nie podoba, bo jest strasznie komercyjny. W zasadzie wszystko pod turystów, którzy są tu dostarczani dziesiątkami mikrobusów. Najlepszy jest sok ze świeżych pomarańczy. Okazuje się, że druga atrakcja Pisac, czyli ruiny leżą wysoko w górach otaczających miasto. Można się tam dostać jedynie na pieszo lub współdzieloną taksówką. Wybieramy taksówkę, bo nie mamy 1-2 godzin czasu na wchodzenie pod górę. Jako wstęp wykorzystujemy boleto turistico, zakupiony w Cusco. Zwiedzenie ruin zajmuje nam około 1,5 godziny. Ruiny leżą w kilku miejscach, rewelacyjnie położonych na zboczach gór. Są to zdecydowanie najlepsze ruiny, które do tej pory

widzieliśmy w Ameryce Pd. Do miasta PISAQ schodzimy na pieszo po setkach schodów. Po godzinie jesteśmy w centrum. Odbieramy nasze plecaki i jedziemy do Ollantaytambo z przesiadką w Urubamba. Przed 16:00 jesteśmy w Ollantaytambo, skąd chcemy jechać pociągiem do Machu Picchu. Okazuje się, że najtańsze bilety (aż 44\$) na nocny pociąg są wykupione na dwa dni z góry i musimy jechać droższym pociągiem (za 53\$ w dwie strony). To chyba nasz najdroższy bilet w życiu za 50 km jazdy. Wszystko spowodowane tym, że nie ma drogi i jest to jedyna możliwość dostania się do Machu Picchu. Jedynym pocieszeniem jest to, że z Cusco bilet kosztuje 70-100\$. Planowaliśmy jeszcze dzisiaj zwiedzić ruiny, ale musimy jechać pociągiem o 17:15.

Pociąg jest taki sobie, ale nasz wagon ma rozkładane siedzenia i stół na każde cztery siedzenia. Peruwianczycy jadą w gorszych wagonach, ale za to mają 5 razy tańsze bilety. Komfort jazdy psują straszne szarpnięcia przy ruszaniu. W środku podróży przychodzą dwie panie z obsługi pociągu z wózkami, które sprzedają picie i słodczyce za odpowiednio wysoką cenę. Po drodze mijamy kilka pociągów w tym luksusowy pociąg Hiram Bingham, na który bilet kosztuje jedynie 495\$. Jest stylizowany na Orient Express. Ku naszemu zaskoczeniu pociąg jest prawie pełny (około 30 turystów w środku). Czasami musimy czekać na pociąg z przeciwnej strony, bo jest tylko jeden tor. Dojeżdżamy opóźnieni, po ponad 2 godzinach jazdy. Wsiadamy w Aguas Calientes, małym miasteczku w górskiej dolinie, które służy jako baza wypadowa do Machu Picchu. Noclegi i jedzenie są tu strasznie drogie, nawet przy cenach w Cusco.

## 26.07.2006, środa, Aguas Calientes->Machu Picchu->Ollantaytambo (km 8060)

Wstajemy wcześnie rano, żeby zdążyć przed wschodem słońca do Machu Picchu. Autobusy miały jeździć co godzinę, ale okazuje się, że jest tyle ludzi, że jeżdżą non stop. Czekamy kilkanaście minut w kolejce i po 6:30 wyjeżdżamy. Przed nami odjeżdżają autobusy 12 i 13, a my jedziemy autobusem numer 14. Oznacza to, że około 500 osób będzie przed nami w Machu Picchu. Należy dodać, że jeszcze przynajmniej kilkadziesiąt osób weszło pod górę na pieszo. O 7:15 jesteśmy już na ruinach i widzimy dużo osób czekających na pierwsze promienie słońca. Jest już jasno, ale Machu Picchu otoczone jest wysokimi, prawie pionowymi górami, które zasłaniają słońce. Kilkanaście minut później oglądamy pierwsze promienie słońca padające na miasto Inków. Panorama Machu Picchu wygląda rewelacyjnie. Robimy kilka zdjęć i schodzimy w dół zwiedzać ruiny. Machu Picchu było miastem, do którego przenieśli się Inkowie po zajęciu Cusco przez Hiszpanów. Mogło tu mieszkać tylko około 2000 osób. Miasto leży z dala od cywilizacji, dzięki czemu Hiszpanie nigdy tu nie dotarli. Dopiero w 1911 roku dotarła tu ekspedycja pod przewodnictwem Hiram Bingham. Nie wiadomo dlaczego Inkowie opuścili Machu Picchu.

Z bliska Machu Picchu to tylko kamienne ściany, ruiny dawnych świątyń i domów. Gdyby nie rewelacyjne położenie, z charakterystycznymi wierzchołkami Huchuy Picchu (mniejszy) i Wayna Picchu, to same ruiny byłyby niezbyt ciekawe. Codziennie tylko 400 osób może przejść bramę, która prowadzi do Huchuy Picchu i Wayna Picchu. Ustawiliśmy się o 9:00 w kolejce do tej bramy. O 9:25 przyszła nasza kolej. Dostaliśmy numery 302 i 303. Wracając z powrotem okazało się, że ostatnia osoba weszła o 10:07. Oznacza to, że osoby jadące pociągami, które dzisiaj wyruszyły z Cusco nie mają szans wejść na te szczyty, bo dojeżdżają tu po 11:00.

Wchodzimy najpierw na Huchuy Picchu. Widzimy stąd panoramę z drugiej strony Machu Picchu. Korzystając z faktu, że nie ma tu turystów, wyciągam pierścioneł, klękam i oświadczam się Magdzie. Magda jest zaskoczona. Przyjmuje oświadczenia. Po chwili nadchodzą turyści, których prosimy o uwiecznienie tej wiekopomnej chwili. Teraz Magda się domyśla, dlaczego pytałem ją, czy ma specjalną kreację na Machu Picchu. Jednak spódnica trochę przeszkadza we wspinaniu się kilkaset metrów pod górę na Wayna Picchu. Po godzinie jesteśmy na górze, skąd widoki rekompensują nam trudy wspinaczki. Trudno uwierzyć, że większość turystów odwiedzających Machu Picchu nie było na Wayna Picchu.

Schodzimy w dół i okazuje się, że turystów jest teraz kilka razy więcej. Przyjechały pociągi z Cusco. Mamy wrażenie, że to najazd Francuzów na Machu Picchu, bo większość spotkanych tu



ludzi mówi po francusku. Po około 4 godzinach większość z tych ludzi będzie wracała do Cusco. Smutne, bo ominęły ich najciekawsze rzeczy, czyli wschód słońca, Wayna Picchu i ominie ich zachód słońca. My się nigdzie nie musimy spieszyć, bo zamierzaliśmy spędzić tu cały dzień. Jemy śniadanie i idziemy leżeć w cieniu, bo teraz jest najcieplejsza część dnia. Dużo osób tak robi. Oglądamy pozostałą część ruin. Najciekawsze są lamy, które pasą się na trawie i czasami przebiegają uliczkami strasząc turystów. Po 15 robi się puściej, bo większość turystów już wyjechała. Zostali już tylko najtwardsi, którzy czekają na zachód słońca. O 16:30 robimy zdjęcia zachodu słońca, który wygląda jeszcze lepiej niż wschód. Tym razem nie jedziemy drogim autobusem, tylko schodzimy w dół. Dojście do Aguas Calientes zajmuje nam 50 minut. Idziemy na kolację a o 20:15 jedziemy pociągiem do Ollantaytambo. Jest przynajmniej pięć wagonów dla obcokrajowców (extranjeros). W Ollantaytambo jesteśmy około 22:00. Większość ludzi z naszego pociągu wraca czekającymi na nich autobusami do Cusco. My z około 30 innymi osobami udajemy się do centrum w poszukiwaniu hotelu. Trafiamy do całkiem fajnego hostelu prowadzonego przez Anglika, który ożenił się z Peruwianką.

### 27.07.2006, czwartek, Ollantaytambo->Cusco->Arequipa (km 8640)

O 9:00 jemy śniadanie, które jest w cenie noclegu. Na boleto turistico, zakupiony w Cusco, zwiedzamy ruiny, które już nas niczym nie zaskakują. Przed 11:00 wyjeżdżamy do Urubamby, skąd mamy kolejny autobus do Cusco.

Po drodze oglądamy ogromne niebiesko-czerwono-białe napisy „Ollanta” i „Alan” na murach. Związane jest to z właśnie niedawno odbywającymi się wyborami prezydenckimi, w których wygrał Alan Garcia. Takie napisy są w całym Peru, ale na południu Peru widzieliśmy prawie tylko „Ollanta”.

W Cusco jesteśmy o 13:00. Na dworcu autobusowym kupujemy bilet na 20:00 do Arequipy. Zostawiamy plecaki i idziemy w kierunku centrum. Po drodze zwiedzamy ogromny pomnik sławnego Inka, Pachacuteca, na którym znajduje się taras widokowy z widokiem na miasto. Wstęp jest na boleto turistico. Z 16 miejsc na boleto byliśmy w 9, więc całkiem sporo. Jemy obiad i dochodzimy na pieszo do rynku. Kręcimy się po mieście. Trafiamy na fajną fontannę, w inkaskim stylu, pod którą można przechodzić. Dla zabicia czasu idziemy na internet. Wychodzimy z internetu, gdy jest już ciemno i strasznie zimno. O 20:00 wyjeżdżamy autobusem. Obok nas na dwóch siedzeniach siedzą dwie dorosłe osoby, jedno starsze dziecko i dwójka młodych dzieci. Zastanawiamy się jak oni się wyśpią w nocy.

### 28.07.2006, piątek, Arequipa->Chivay (km 8800)

O 6:30 jesteśmy w Arequipie, dookoła której znajduje się wiele gór, niektóre nawet z ośnieżonymi szczytami. Najsławniejszy jest wulkan El Misti (5822 m.n.p.m.). Zostawiamy plecaki w depozycie i jedziemy busikiem do centrum. Zwiedzamy rynek i klasztor Santa Catalina, który jest miastem w mieście. Są tu ulice, które mają własne nazwy. Mury pomalowane są na bardzo jaskrawe kolory jak czerwony i niebieski. Wszędzie jest dużo kwiatów. Ciekawy jest konfesjonał jako dziury w ścianie zamykane drzwiami, ponieważ ksiądz nie miał tu wstępu a siostry nie mogły wychodzić na zewnątrz. Klasztor ma rewelacyjny klimat, który dodatkowo poprawiają ciasteczka wypiekane przez siostry z tego zakonu. Następną atrakcją Arequipy, do której się udajemy, jest Museo Santuario Andinos, w którym znajdują się przedmioty i mumie ludzi składanych przez Inków jako ofiary. Najlepiej zachowaną mumią jest Juanita, która była kilkunastoletnią dziewczynką, złożoną w ofierze na górze Ampato. Prawdopodobnie chodziło o przebłaganie Bogów, żeby nie okazywali swojego gniewu, który miał się objawiać erupcją wulkanów. Juanita przeleżała kilkaset lat w lodzie a teraz leży w przezroczystej lodówce w muzeum. Od stycznia od kwietnia Juanita lata samolotem i jest pokazywana w muzeach na całym świecie. Oczywiście Juanita miała swoją torebkę, w której trzymała liście koki. Można ją oglądać w tym samym muzeum.

O 14:00 wyjeżdżamy do Chivay w Kanionie Colca. Po trzech i pół godzinach jazdy po kiepskiej, w połowie szutrowej drodze, jesteśmy na miejscu. Okazuje się, że w mieście jest dużo hoteli, ale wszystkie są pełne. W mieście są setki turystów, którzy przyjechali tu zorganizowanymi wycieczkami i będą jechali jutro oglądać kondory. W końcu udaje nam się znaleźć trochę droższy hotel niż zwykle. Większym problemem jest jutrzejszy dojazd do Cruz del Condor w Kanionie Colca, dlatego decydujemy się na wykupienie wycieczki. Jemy obiadokolację, której ciekawym składnikiem jest kurza noga pływająca w zupie makaronowej.

29.07.2006, sobota, Chivay->Colca Canyon->Chivay->Arequipa ->Nasca (km 9620)

O 6:30 wyjeżdżamy na wycieczkę do Kanionu Colca. Po drodze zwiedzamy miasteczko Yanque, gdzie oglądamy miejscowe tańce i robimy sobie zdjęcia z orłem i małą, puszystą alpaka. Następnym przystankiem jest miasteczko Maca z ciekawym kościołem i małym targiem. Dalej jedziemy krętymi, szutrowymi drogami wzdłuż Kanionu Colca. O 8:30 przyjeżdżamy do miejsca zwanego Cruz del Condor (Krzyż Kondora). Na pojawienie się kondorów czekają setki turystów, jak codziennie w tym miejscu. Znowu większość z nich stanowią Francuzi.

Słońce podgrzewa powietrze w dole kanionu, z czego korzystają kondory wznosząc się w górę kanionu. Dzieje się tak codziennie rano, koło godziny 9:00. I rzeczywiście oglądamy pierwszego, małego kondora z brązowymi skrzydłami, który krąży w dolinie. Dorosłe kondory mają czarne skrzydła. Później kondorów jest coraz więcej, w sumie kilkanaście a może nawet kilkadziesiąt. Kilka przelatuje nad naszym punktem widokowym powodując zamieszanie wśród ludzi, ponieważ są to jedne z największych na świecie ptaków. Wazą średnio 10 kg a rozpiętość ich skrzydeł dochodzi do 3 metrów. W drodze powrotnej zatrzymujemy się w punktach widokowych na Kanion Colca, który jest dwa razy głębszy niż Wielki Kanion i jest jednym z najgłębszych na świecie. Kanion Colca zyskał rozgłos w 1981 roku za sprawą szóstki polskich kajakarzy, którzy po raz pierwszy przepłynęli górską rzeką Colca, płynącą w dole kanionu. Sam kanion nie jest zbyt ciekawy, bo widzieliśmy już ładniejsze np. Wielki Kanion czy Blyde River Canyon. Podobno w porze deszczowej jest tu dużo więcej zieleni i dużo ładniej. Następnie wracamy do Chivay po drodze oglądając w oddali szczyt wulkanu Sabancaya i góry Ampato (6288 m.n.p.m.). Juanita była złożona w ofierze na górze Ampato.

O 12:15 jesteśmy na dworcu autobusowym. Od wczoraj wiemy, że wszystkie miejsca w autobusie są wyprzedane, ale mamy szansę podróżować na stojąco. Jednak dzisiaj jest święto i autobusy boją się policji i nie chcą brać ludzi. Autobusy odjeżdżają zostawiając kilkadziesiąt osób na dworcu. Taksówkarze natomiast chcą 11\$ za osobę za dojazd do Arequipy. Pojawia się też lista na dodatkowy autobus, który ma odjechać o 16:00. Nie zdążyliśmy się zapisać na listę, gdy wrócił jeden z autobusów. Widocznie kierowca zobaczył, że nie ma policji. Dzięki temu możemy opuścić to miejsce na końcu świata. Lepiej i wcale nie drożej byłoby kupić wycieczkę do Kanionu Colca z Arequipy, ale nie wiedzieliśmy o tym. O 16:00 jesteśmy w Arequipie, gdzie jemy obiad, idziemy na internet. O 20:00 wyjeżdżamy do Nasca.

30.07.2006, niedziela, Nasca->Ica->Pisco (km 9830)

O 6:00 rano jesteśmy w Nasca. Bieremy taksówkę na lotnisko, gdzie odwiedzamy wszystkie biura linii lotniczych. Wybieramy AeroIca, która była polecana przez nasz przewodnik. Linia ma dużo samolotów i stargowaliśmy się do ceny, którą proponowali w mniejszych liniach. Dowiadujemy się, że pierwsze loty będą odbywać się od 10:00, ale my będziemy lecieć koło południa.

Korzystając z wolnego czasu postanawiamy pojechać do Chauchilla. Możemy kupić wycieczkę w biurze, ale postanawiamy sami sobie zorganizować transport. Zatrzymujemy taksówki i kierowca z drugiej zatrzymanej taksówki podejmuje się zawiezienia nas tam i z powrotem za akceptowaną przez nas cenę. Taksówkami są tu także małe Daewoo Tico. Taką taksówką jedziemy około 20 km drogą asfaltową, później skręcamy w bok na pustynię, gdzie nie ma asfaltu. Jedziemy jeszcze 7 km myśląc o tym, że taksówkarzowi nie warto niszczyć samochodu za pieniądze, które

mu zapłacimy. Chauchilla leży w środku pustyni. Odnaleziono tu groby ludzi żyjących jeszcze przed Inkami. Specyficzny mikroklimat tego miejsca naturalnie zakonserwował mumie. Jedna z nich ma nawet skórę i włosy. Nie podoba nam się chodzenie, bo pradawnych grobach i już o 10:00 jesteśmy z powrotem.

W biurze AeroIca oglądamy film poświęcony sławnym liniom na pustyni blisko Nasca. Nie wiadomo kto je narysował i po co powstały. Według mnie teorie o kosmitach są śmieszne, bo linie przedstawiają bardzo prymitywne obrazki. Zagadką jest tylko jak udało im się narysować (lub wydeptać) tak ogromne rysunki, które dobrze widać tylko z samolotu. O 12:00 wylatujemy 5 osobową Cessną oglądać linie. Najpierw oglądamy tzw. astronautę. Pilot krąży nad każdym z rysunków, aby osoby z prawej i z lewej strony mogły zobaczyć. Podczas tych kółek przeciążenia są bardzo duże. Dobrze że radzono nam nie jeść nic na śniadanie. Następnie są rysunki psa, małpy, kondora, kolibra, papugi. Niektóre rysunki ciężko zobaczyć z samolotu, bo zlewają się z ziemią lub zostały częściowo zniszczone. A jeszcze ciężiej zrobić zdjęcie. Najlepiej było widać kolibra. Jeszcze tylko lądowanie i wrócimy na ziemię.

Lot tak małym samolotem nie był przyjemny, więc lądowanie jest ulgą. Zabieramy plecaki, wracamy na dworzec autobusowy (a raczej miejsce, w którym zatrzymują się autobusy) i o 13:00 wyjeżdżamy do Ica. Jedziemy na północ, wzdłuż wybrzeża Pacyfiku. Rozciąga się tu pustynia, która ciągnie się w sumie przez 1800 km. Zza szyb autobusu oglądamy wydmy, jednak najładniejsze wydmy znajdują się w miejscowości Ica. O 15:30 jesteśmy już w Ica. Kupujemy bilet autobusowy do Pisco i zostawiamy plecaki. Zatrzymujemy tricykl, który jest najtańszym środkiem dostania się do oazy Huacachina. Oaza robi ogromne wrażenie. Widoki bardziej kojarzą się nam z Egiptem niż z Peru. Wydmy są ogromne, a w środku jest jezioro, w którym ludzie pływają na rowerach wodnych. Na wydmach ludzie uprawiają sandboarding. Można też kupić przejażdżkę po wydmach specjalnie przygotowanym samochodem buggy. Jest niedziela, więc jest tu bardzo dużo ludzi, szczególnie miejscowych. Ponad godzinę chodzimy po wydmach i robimy zdjęcia. Następnie wracamy do centrum, skąd o 17:30 wyjeżdżamy do Pisco. W Pisco jesteśmy o 19:00. Najpierw znajdujemy hotel a później szukamy wycieczki na wyspy Ballestas i półwysp Paracas. Udaje nam się stargować prawie dwukrotnie cenę wycieczki, prawdopodobnie do ceny, którą płać Peruwiańczycy.

### 31.07.2006, poniedziałek, Pisco->Islas Ballestas->Paracas->Lima (km 10120)

O 7:15 wyjeżdżamy na wycieczkę. Najpierw jedziemy autobusem do portu. Następnie wypływamy motorówką w stronę wysp Ballestas. Pogoda nie jest zbyt ładna, bo jest pochmurno i mgliście. Na pocieszenie słyszymy, że taka pogoda jest tu przez pół roku. Wyspy Ballestas nazywane są Galapagos dla biednego, ponieważ żyją tu podobne zwierzęta. Opływamy Wyspy Ballestas, które są ciekawymi formacjami skalnymi. Jest tu dużo różnych łuków i jaskiń. Przepływamy nawet motorówką przez jedną z jaskiń. W międzyczasie oglądamy mnóstwo różnych ptaków, w tym kormorany i pelikany. Jest też dużo pingwinów, fok i lwów morskich, do których podpływamy bardzo blisko. Następnie wracamy do portu. Mamy trochę wolnego czasu na zjedzenie śniadania.

O 11:00 wyjeżdżamy autobusem na Półwysp Paracas. Pierwszym punktem wycieczki jest muzeum. Następnie oglądamy wybrzeże z ciekawymi formacjami skalnymi. Tu pogoda jest dużo lepsza. Najbardziej znane są skały nazywane „katedra”, które wyglądają rewelacyjnie na tle błękitnej wody. Następnie jedziemy do miejsca na wybrzeżu, w którym są restauracje. Oczywiście przewodnik prowadzi wszystkich do swojej restauracji, która niby jest najlepsza i najtańsza. Inne grupy są za to prowadzone do innych restauracji. My jak zwykle protestujemy nie korzystając z usług tutejszych restauracji. Za to udaje nam się znaleźć banany i kanapki z jajkiem (na gorąco) w budce przeznaczonej dla tutejszych rybaków. Po 15:00 jesteśmy z powrotem w Paracas, skąd po 16:00 jedziemy do Limy z firmą Soyuz. Najpierw zostajemy zabrani kilka kilometrów do Panamericany, gdzie czekamy na duży autobus. Autobusy Soyuz do Limy przejeżdżają tedy co 8 minut. Ciekawa sprawa, bo nasz autobus był prawie pełny. Ku naszemu zdziwieniu dostaliśmy też

darmowe długopisy z reklamą firmy. Ciekawą sprawą w Peru są płatne drogi, za które autobusy płacą mniej niż samochody osobowe.

O 19:30 jesteśmy w Limie, gdzie bierzemy busik do centrum. Wybieramy Hotel España, zbudowany w stylu kolonialnym, wyglądający w środku bardzo ekskluzywnie. Jest to zdecydowanie jeden z najlepszych hoteli podczas tej podróży, w którym się zatrzymaliśmy. Tani nie był, ale ceny pokoju były takie same jak innych hoteli w Limie. Później idziemy na kolację i zwiedzamy Plaza de Armas (rynek) nocą.

### 01.08.2006, wtorek, Lima->Huaraz (km 10570)

Rano wychodzimy z hotelu i idziemy kupić bilet autobusowy do Huaraz. Wybiega za nami mężczyzna pracujący w hotelu i daje nam mapę na której zaznaczony jest rejon miasta, którego nie powinniśmy opuszczać. Szkoda tylko, że firmy autobusowe, które jeżdżą do Huaraz znajdują się poza zaznaczonym rejonem. Mamy do wyboru trzy firmy autobusowe. Kupujemy bilet i wracamy w stronę rynku, gdzie o 12:00 jest zmiana warty przed pałacem prezydenckim. Cały tłum turystów zgromadził się w rynku i czeka na zmianę warty. Zmiana warty następuje przy akompaniamencie orkiestry i z udziałem kilkudziesięciu żołnierzy. Wszystko odbywa się strasznie wolno a żołnierze poruszają się jakby w zwolnionym tempie, dlatego cała zmiana trwa około 30 min.

Blisko pałacu prezydenckiego jest muzeum filatelistyczne, w którym są znaczki z całego świata. Najbardziej podobały nam się polskie znaczki z poziomkami podpisane jako truskawki. Poziomki muszą tu być bardzo egzotyczne. Następnie zwiedzamy klasztor San Francisco, w którym znajdują się katakumby z tysiącami odkopanych kości. Katakumby nie są zbyt przyjemne do oglądania. Lepszym miejscem jest kościół San Francisco obok klasztoru, w którym na bocznym ołtarzu znajduje się Matka Boska Częstochowska (podpisana po polsku). Później zwiedzamy Museo del Tribunal de la Santa Inquisicion, gdzie kiedyś torturowano i przetrzymywano ludzi. Kolejnym punktem zwiedzania jest kościół i klasztor Santo Domingo, gdzie znajdują się grobowce św. Marcina de Porres i św. Róży z Limy. Później idziemy do Santuario de Santa Rosa, gdzie urodziła się św. Róża z Limy. Ludzie wypisują tu kartki z prośbami i wrzucają je do studni.

Ponieważ zwiedziliśmy większość interesujących nas miejsc w Limie, idziemy na obiad. Później udajemy się do supermarketu Metro. Jest to pierwszy supermarket, który widzieliśmy od Brazylii. Naszym głównym zakupem jest świeża bagietka i plasterki żółtego sera. Tak dawno nie jedliśmy bagietki, że zjedliśmy ją bardzo szybko. Koło rynku znajdują się pizzerie, które sprzedają pizzę na kawałki. Próbujemy peruwiańską pizzę i w pierwszej pizzerii, na rogu rynku, pizza jest bardzo dobra i niedroga. Najlepiej podoba nam się w Limie, że wszędzie można kupić soczki ze świeżych owoców, które kosztują tylko równowartość 50 gr.

Po 20:00 zabieramy nasze plecaki z hotelu i idziemy na autobus. O 21:00 wyjeżdżamy do Huaraz. Autobus zatrzymuje się na peryferiach miasta, gdzie setki ludzi bez biletów czekają na autobus. Podbiega do nas kilkadziesiąt osób, które chcą zająć wolne miejsca w autobusie. Kierowca wykorzystując sytuację życzy sobie 40 soli za bilet. Słyszac to niektórzy rezygnują, ale w ich miejsce przychodzą inni. My zapłaciliśmy po 25 soli za bilet. Podjeżdżamy jeszcze w inne miejsce Limy po kilka osób, które tam kupiły wcześniej bilety. Wszystko w sumie trwa około godziny i dopiero o 22:00 wyjeżdżamy z Limy.

### 02.08.2006, środa, Huaraz->Pastoruri->Huaraz (km 10710)

O 6:00 jesteśmy w Huaraz. Wita nas zimne, andyjskie powietrze. Jest to miasto, z którego organizuje się trekkingi w pobliskie góry. Najpierw znajdujemy tanią kwaterę, gdzie zostawiamy plecaki. Następnie kupujemy wycieczkę na lodowiec Pastoruri. Jemy śniadanie i o 9:30 wyjeżdżamy na wycieczkę. W połowie drogi kończy się asfalt. Jest też przystanek na śniadanie, gdzie zamawia się także obiad, ponieważ zatrzymamy się tu w drodze powrotnej. Kupujemy tylko herbatę z liści koki, która ma pomagać na chorobę wysokościową. Później zatrzymujemy się przy aguas gasitadas w Pumapampa. Jest to źródło z mineralną wodą, lekko śmierzącą. Następnie

podjeżdżamy pod górę, oglądając ośnieżone szczyty po bokach. Wjeżdżamy autobusem aż na wysokość 4900 m.n.p.m. Jest już 13:00. Ludzie przebierają się w kombinezony, czapki i rękawiczki. Są to głównie miejscowi oraz turyści z Puerto Rico i Francji. Dla nas nie jest tu tak zimno. Na lodowiec można dostać się pieszo lub wynająć konia. My decydujemy się wejść pieszo. Przy tej wysokości powietrze jest rzadkie i wchodzi się dość ciężko, chociaż połowa drogi jest bardzo łatwa. Druga część, skąd konie dalej nie idą, jest dużo bardziej stroma. Magda tu zostaje, bo się źle czuje. Ja wchodzę na lodowiec. Po drodze mijam młodych chłopców, którzy pracują wnosząc na ramionach (na barana) kobiety i dzieci. Na brzegu lodowca jest jezioro i jaskinia, która ma niebieski kolor. Lodowiec powoli się topi i płynie z niego woda. Wchodzę na lodowiec. Chodzenie po lodzie nie jest proste, dlatego niektórzy mają kijki. Dochodzę na wysokość około 5200 m.n.p.m. Z tego miejsca jest doskonała panorama na okolicę. W oddali widać białe szczyty Cordillera Blanca, w którą planujemy się jutro udać. Zejście w dół jest już bardzo łatwe. Powoli zaczyna się ochładzać. W nocy jest tu poniżej 0 stopni. O 15:30 wyjeżdżamy. Pod sam koniec szutru łapiemy gumę, jednak kierowca postanawia jechać wolno do restauracji, gdzie większość ma zamówiony obiad. Pomimo tego, że obiad był zamówiony wcale tak szybko go nie podano. My oglądaliśmy zachód słońca i czekamy, aż autobus zostanie naprawiony. O 19:00 jesteśmy z powrotem w Huaraz. Chodzimy po wszystkich agencjach turystycznych. Planowaliśmy pójść na czterodniowy trekking Llanganaco-Santa Cruz, ale dowiadujemy się, że jest on najpopularniejszy, bo jest łatwy. Po oglądnięciu zdjęć decydujemy się na jednodniowy trekking do Laguna 69. Stwierdzamy, że zasłużyliśmy na całą pizzę. Pizzeria wygląda wyjątkowo dobrze, jak na tutejsze warunki. Pizza jest dość droga, ale bardzo dobra.

### 03.08.2006, czwartek, Huaraz->PN Llanganuco->Huaraz->Trujillo (km 11390)

Dzisiaj czeka nas trekking w Cordillera Blanca. Jest to jedno z najwyższych pasm górskich w Andach. W okolicy jest 23 szczytów powyżej 5000 m.n.p.m. Między nimi jest Huascarán (6768 m.n.p.m.), najwyższa góra Peru. My nie będziemy wchodzić na szczyty, ale będziemy chodzili dolinami, otoczeni tymi pięknymi górami.

Wstajemy po 6:00. W piekarni kupujemy bułki i ser żółty na śniadanie. O 7:00 wyjeżdżamy busikiem spod biura turystycznego. Plecak zostawiamy w biurze. Okazuje się, że będziemy mieli przewodnika tylko dla siebie. Jedziemy z ludźmi, którzy idą na czterodniowy trekking Llanganaco-Santa Cruz. Najciekawsze jest to, że pomimo tego, iż busik jest wynajęty to i tak jedziemy jako współdzielona taksówka, bo po drodze dosiadają się do nas i wysiadają ludzie. Po godzinie jesteśmy w Yungay, gdzie jest przerwa na śniadanie. Stąd zaczyna się droga pod górę. Ten odcinek jedziemy czternastoosobowym busikiem w 21 osób plus 2 osoby (i kilka dużych plecaków) na dachu. Zatrzymuje nas policja, co powoduje, że dalej jedziemy w 23 osoby w środku. Po jakimś czasie kierowca każe wrócić dwóm osobom na dach. Dojeżdżamy do bram PN Llanganaco. Płacimy za wstęp i jedziemy mijając po prawej dwa jeziora Llanganaco z piękną, turkusową wodą. Następnie jest stromy podjazd serpentynami pod górę, gdzie na wysokości 4100 m.n.p.m. wysiadamy. Widzimy stąd wspaniałą panoramę na jeziora i ośnieżone szczyty. Busik z turystami idącymi na czterodniowy trekking jedzie dalej. Podjazd z Yungay zajął około 2 godziny.

Około południa rozpoczyna się nasz trekking do Laguny 69. Naszym przewodnikiem jest młody, dwudziestoletni chłopak. Najpierw schodzimy na 3900 m.n.p.m. Po drodze mijamy większą grupę turystów. Następnie oglądamy wodospad, w którym płynie woda z roztopiających się lodowców. Później musimy podejść na wysokość 4450 m.n.p.m., co zajmuje nam około trzy godziny. Wczorajszy dzień trochę nam pomógł w aklimatyzacji. Widoki po drodze są rewelacyjne. Jednak największe wrażenie robi Laguna 69, która otoczona jest ośnieżonymi górami. Jej woda ma rewelacyjny kolor. W tym miejscu jesteśmy już na granicy lodu. Odpoczywamy, jemy kanapki, owoce. Przewodnik częstuje nas herbatą z liści koki. Opowiada nam, że jego marzeniem jest prowadzenie własnego biura turystycznego. Później robimy zdjęcia i o 16:15 zaczynamy schodzić w dół. Idziemy bardzo szybko, bo jesteśmy spóźnieni i już przed 18:00 jesteśmy na dole, blisko

jezior Llanganaco. Tu przewodnik wynajmuje samochód, starego grata, któremu na wybojach drzwi się same otwierają. Po 30 minutach jesteśmy na granicy PN. Następne 50 minut zajmuje zjazd do Yungay. Znowu po drodze kierowca dorabia zabierając i wysadzając dodatkowych pasażerów. W Yungay łapiemy busika i o 20:30 jesteśmy w Huaraz. O 20:45 mamy autobus do Trujillo, więc zdążyliśmy na styk. Odbieramy nasze plecaki. Udaje nam się jeszcze kupić hamburgera na kolację i umyć nogi, co jest wielką ulgą.

Według naszego przewodnika Cordiliera Blanca to jedno z najładniejszych gór w Ameryce Południowej i w pełni się z tym zgadzamy. Chętnie bym tu jeszcze kiedyś przyjechał pochodzić po szczytach gór, pokrytych lodem. Góry są tu piękne a ceny całkiem przystępne. Cordiliera Blanca, obok Salaru de Uyuni i Machu Picchu, to najładniejsze miejsce, które widzieliśmy podczas całej podróży do Ameryki Południowej.

#### 04.08.2006, piątek, Trujillo->Chan Chan->Tumbes (km 12090)

O 6:00 dojeżdżamy do Trujillo. W nocy źle spaliśmy, bo siedzenia były niewygodne i jesteśmy trochę zmęczeni. W tym mieście nie ma głównego dworca autobusowego, tylko każda firma ma swój dworzec. Jedziemy taksówką na dworzec Emtrafesy, gdzie kupujemy bilet na wieczorny autobus do Tumbes i zostawiamy plecaki. Następnie idziemy na busik do Chan-Chan. Zostajemy wysadzeni na peryferiach miasta. Stąd idzie się około 20 minut do ruin Chan-Chan. Problem w tym, że wyczytaliśmy o kilku napadach na turystów na tej drodze. Nasz przewodnik sugeruje, żeby iść do ruin w grupie, ale jest dopiero 9:00 i nie ma turystów. Nie chcemy ryzykować, więc decydujemy się na taksówkę. Taksówkarz proponuje nam circuito turistico. Propozycja jest ciekawa, ponieważ oprócz Chan-Chan zwiedzimy także Huaca El Dragon (Arco Iris), Huaca La Esmeralda i muzeum, które rozmieszczone są w dużej odległości od siebie. Targujemy się do dobrej ceny i jedziemy zwiedzać. Huaca El Dragon ma ciekawe płaskorzeźby. Huaca La Esmeralda jest bardzo zniszczona i nieciekawa. Muzeum jest całkiem ciekawe, szczególnie naczynia używane przez lud Chan-Chan. Pomimo tego, że ludy Chan-Chan i Moche żyły przed Inkami wydaje się, że miały bardziej zaawansowaną kulturę. Na końcu jedziemy do Chan-Chan, w którym główną atrakcją jest Pałac Tschudi. Z pałacu zostały tylko mury około metra wysokości, dzięki którym możemy jednak sobie wyobrazić jak pałac wyglądał za jego dni świetności. Około południa taksówkarz zostawia nas w miejscu, z którego zaczynaliśmy.

Wracamy do centrum Trujillo, gdzie idziemy na busik do Huaca de la Luna (Piramida Księżyca). Jest to piramida, która do niedawna była przykryta piaskami pustyni. Leży na peryferiach miasta, ale w innej części niż Chan-Chan. W piramidzie zachowały się ciekawe, kolorowe malowidła ścienne. W pobliżu jest także Huaca del Sol (Piramida Słońca), która jest zamknięta dla turystów.

Po powrocie do centrum idziemy na obiad i odpoczywamy w cieniu pomnika na Plaza Mayor (ryнку). W pobliżu studenci rysują akwarelami widok na katedrę. O 19:00 wyjeżdżamy autobusem do Tumbes.

#### 05.08.2006, sobota, Tumbes->Aguas Verdes->Cuenca->Alausi (km 12620)

O 5:30 jesteśmy w Tumbes. Tym razem spaliśmy lepiej. Na dworcu robimy sobie szybką, poranną toaletę. Czekamy aż się rozjaśni. Miejskowa kobieta odradza nam jechanie busikiem na granicę i zatrzymuje nam taksówkę. Mówi kierowcy, żeby dowiózł nas do samego mostu. Do Aguas Verdes, na granicy, jest aż 30 km. Posterunek peruwiański jest 2 km od mostu granicznego. Wsiadamy z taksówki z plecakami i oczywiście nic jeszcze nie płacimy, bo możemy nie zastać taksówki. Dostajemy pieczątki wyjazdowe i wracamy do taksówki. Płacimy za przejazd dopiero przy moście. Po stronie ekwadorskiej musimy wziąć kolejną taksówkę (tym razem współdzieloną), ponieważ posterunek ekwadorski jest około 4 km od mostu granicznego. Strasznie dziwna jest ta granica a już trochę granic w życiu widzieliśmy. Musimy jeszcze kilkanaście minut odstać w kolejce. W końcu jesteśmy w Ekwadorze.

Jest dopiero przed 8:00 rano. Wsiadamy do autobusu do Machali. W Machali chcemy znaleźć autobus do Riobamby, jednak okazuje się, że jest dopiero o 20:00. Dlatego decydujemy się jechać do Cuenca, skąd mamy nadzieję znaleźć autobus do Riobamby. Rano było ciepło, ale koło południa robi się strasznie gorąco, pewnie ponad 30 stopni. W końcu jesteśmy bardzo blisko równika. Odwykliśmy od takich temperatur w Boliwii i Peru. Pani z obsługi autobusu przynosi zimną coca-colę, którą rozlewa do plastikowych kubków i daje pasażerom. Tego nam było trzeba. W Cuenca jemy na dworcu szybki obiad (seco de pollo) i o 15:30 wyjeżdżamy autobusem do Riobamby. Trasa ta jest opisana w przewodniku jako ciekawa krajobrazowo i rzeczywiście oglądamy ciekawe góry i chmury nad dolinami. Później sami wjeżdżamy autobusem w chmury. Ciekawe zjawisko, jednak mamy wrażenie, że kierowcy jeżdżą tu jak wariaci. W autobusie jedzie z nami Anglik, który wysiada w Alausi. Naszym planem było pojechać do Riobamby, skąd wyjeżdża sławny pociąg „Devil's Nose Train”. Jednak ten pociąg przejeżdża także przez Alausi, więc wysiadamy razem z Anglikiem. Przekonało nas to, że nie musimy jechać jeszcze dwóch godzin do Riobamby i nie musimy wstawać na pociąg o 7:00 rano.

### 06.08.2006, niedziela, Alausi->Devil's Nose Train->Baños (km 12820)

Niczym przyjechaliśmy do Ekwadoru czytaliśmy, że po krachu tutejszej gospodarki zaczęto tu używać dolara amerykańskiego jako środka płatniczego. I rzeczywiście tak jest. Krążące banknoty są zwykle strasznie pogniecione i nie przyjmuje się banknotów większych niż 20 dolarów. Większe banknoty należy rozmiąć w banku. Zastanawialiśmy się też jak to jest z monetami, bo ciężko przywieźć ze Stanów kilkaset tysięcy monet. Okazuje się, że w obiegu są amerykańskie monety oraz ich ekwadorskie odpowiedniki. Te drugie poza Ekwadorem są bezwartościowe. Najbardziej śmieszyło nas jak prawie wszystkie osoby, które dostały od nas dolary bardzo dokładnie je oglądały. Byli zdziwieni, że w takim dobrym stanie? Raczej szukali fałszywek, które można tu spotkać, szczególnie blisko granicy.

Wstajemy o 8:00. Wreszcie mieliśmy normalne łóżka, bo dwie wcześniejsze noce spędziliśmy w autobusach. O 9:00 mają zacząć sprzedawać bilety na pociąg. Razem z nami czeka około 10 innych turystów. To jest Ameryka Pd, nikomu się tu nie spieszy i bilety zaczynają sprzedawać o 10:00. Dowiadujemy się, że wczoraj w Riobambie sprzedali wszystkie bilety, bo jedna para właśnie przyjechała z Riobamby autobusem.

„Devil's Nose Train” jest częścią dawnej kolei między Quito a Guayaquil. Większość trasy jest obecnie zamknięta z powodu trzęsień ziemi i huraganów (np. El Niño w 1997/98). Jedynym otwartym odcinkiem jest Riobamba-Alausi-Sibambe. Odcinek Alausi jest sławny z powodu ostrych zakrętów i stromych przepaści, z których najciekawsze znajdują się przy górze Nariz del Diablo (Devil's Nose). Ciekawostką jest to, że pociąg jeździ tylko trzy razy w tygodniu i podróżuje się na dachu.

Pociąg jest w Alausi około 11:30. Na dachu przyjechały już setki turystów z Riobamby. Duża część turystów wypożyczyła za 1\$ poduszkę, na której siedzi na dachu. W Alausi dosiada się około 200 osób, z których większość to miejscowi lub turyści z Ameryki Pd. Siedzimy w środku pociągu i okazuje się, że dla zdjęć lepiej byłoby siedzieć z samego tyłu albo z przodu. Chociaż nasz przewodnik odradza siedzieć z przodu, bo podobno z lokomotywy pryskają różne ciecze. Sama jazda nie jest zbyt bezpieczna, bo kilkunastocentymetrowe barierki nie zapewniają bezpieczeństwa. Na szczęście pociąg jedzie dość powoli. Jedziemy w dół i same widoki, chociaż ciekawe, nie są przerażające. Najciekawszy jest konduktor, który podczas jazdy pociągu chodzi po dachu i sprawdza bilety. Czasami też ostrzega, aby uważać na skały, które będą bardzo blisko pociągu.

W drodze powrotnej lokomotywa przepinana jest na tył i pociąg jedzie w odwrotną stronę. Podczas postoju przesiedliśmy się do wagonów, które teraz będą na końcu. Teraz robię dużo lepsze zdjęcia na pociąg i ludzi na dachu. Spotykamy też Polaka, który przyjechał tylko do Ekwadoru. Opowiada nam, że rano była kiepska pogoda a przez połowę drogi do Alausi, czyli przez 2 godziny padał deszcz. Czyli nam się dzisiaj udało. W drodze powrotnej jedziemy pod górę. Po dachu

chodzą sprzedawcy z napojami i słodyczami. O 14:20 jesteśmy z powrotem w Alausi, skąd o 14:45 mamy autobus do Riobamby (dwa razy szybszy niż pociąg). W Riobambie musimy wziąć taksówkę na drugi dworzec autobusowy, skąd o 17:00 wyjeżdżamy do Baños. Po 19:00 jesteśmy w Baños, gdzie szybko znajdujemy hotel. Później idziemy oglądać propozycje wycieczek w biurach turystycznych. Wycieczka do dżungli nas nie interesuje. Jest też nocna wycieczka na wulkan, który dwa tygodnie temu pluł lawą, co widzieliśmy na zdjęciach. Jest jeszcze wycieczka autobusem lub wypożyczonym rowerem do pobliskich wodospadów. Następnie idziemy na kolację i na internet, który jest tu bardzo drogi.

### 07.08.2006, poniedziałek, Baños->Quito (km 13020)

Wstajemy koło 9:00. Jemy śniadanie, zwiedzamy sanktuarium Matki Boskiej Różańcowej. Następnie idziemy do gorących źródeł, od których wzięta się nazwa miejscowości. Wybieramy gorące źródła przy wodospadzie La Virgin. Są tu trzy baseny z gorącą wodą, bardzo gorącą i lodowatą. Około dwie godziny odpoczywamy w gorących źródłach i wychodzimy koło południa. Wczoraj planowaliśmy wypożyczyć rowery i pojechać trasą krajobrazową, z kilkoma wodospadami po drodze, w kierunku Puyo. Z powodu brzydkiej pogody, a dokładniej chmur i lekkiego deszczu rezygnujemy.

W stronę Quito znajduje się Laguna Quilotoa, która wyglądała ciekawie na zdjęciach. Jednak wygląda podobnie do Laguny 69. Dodatkowo jest tam bardzo ciężki dojazd, więc decydujemy się jechać prosto do Quito. Po drodze mieliśmy oglądać szczyt wulkanu Cotopaxi, ale nic nie widzieliśmy z powodu złej pogody. Do Quito dojechaliśmy o 17:00. Do zachodu słońca pozostało około 2 godziny, ale w mieście było już strasznie ciemno i mroczno. To chyba z powodu chmur i wysokości 2850 m.n.p.m. Znaleźliśmy hotel blisko dworca i poszliśmy wstępnie oglądać stare miasto. Następnie zjedliśmy kolację blisko naszego hotelu.

### 08.08.2006, wtorek, Quito->Mitad del Mundo->Quito->>Otavallo (km 13160)

Wstajemy o 8:00. Na śniadanie jemy jajecznicę i pijemy sok z ananasa (piña). Zwiedzanie starego miasta rozpoczynamy od kościoła Santo Domingo. Następna jest Basilica, gdzie można wejść na punkt widokowy na dachu, z którego jest doskonała panorama na stare i nowe miasto. Następnie chcieliśmy zwiedzić katedrę, ale cały Plac Niepodległości był zamknięty z powodu święta. Postanowiliśmy pojechać do Mitad del Mundo (Środek Świata). Jest to miejsce oddalone około 30 km od Quito, w którym Francuzi w 1736 wyznaczyli linie równika. Aby tam dojechać musieliśmy jechać aż trzema autobusami. Przystanki autobusowe w Quito są monitorowane i nie można wejść na przystanek autobusowy bez biletu. Zza szyb autobusu przekonaliśmy się, że Quito leży w wąskiej dolinie, przez co jest strasznie długie.

Około godziny zabrał nam dojazd na Mitad del Mundo. Obecnie Mitad del Mundo to miasteczko zbudowane wyłącznie dla turystów. Przez całe miasteczko namalowana jest linia równika. Dzięki temu można stać dwoma nogami na dwóch półkulach jednocześnie. W głównym miejscu stoi pomnik pokazujący wschód, zachód, północ i południe. Jednak posługując się GPS-em okazuje się, że Francuzi pomylili się o 150 m. W pobliskim muzeum dowiadujemy się, że na pobliskich górach Indianie, jeszcze przed Francuzami, także wyznaczyli linie równika. Różnica jest taka, że Indianie się nie pomylili, bo linie zgadzają się ze wskazaniem GPSa.

Wycieczka do Mitad del Mundo zajęła nam w sumie około 3 godziny. Od rana w Quito była ładna pogoda, ale po 15:00 znowu przyszyły chmury i zrobiło się ciemno. Po powrocie do Quito poszliśmy na obiad, na który dostaliśmy zupełną rybę, sok z marakuji i kawałek papai na deser. Następnie zaczęliśmy kontynuować zwiedzanie starego miasta. Zobaczyliśmy kościoły La Compañía i San Francisco. Spodziewaliśmy się trochę więcej po Quito, szczególnie że jest na liście UNESCO. Uliczki w kolonialnym stylu są ładne, ale wszystko to już wcześniej widzieliśmy.

Następnie idziemy do hotelu po plecaki i o 17:00 wyjeżdżamy do Otavallo, największego targu w Ameryce Pd. Mieliśmy jechać dwie godziny, ale godzinę wlekleliśmy się po Quito szukając



pasażerów, którzy zapełnią wolne miejsca w autobusie. W Otavalo znaleźliśmy tani hotel i szybko poszliśmy spać.

### 09.08.2006, środa, Otavalo->Tulcan (km 13300)->Medellin (km 14200)

Wstajemy po 8:00. Idziemy na śniadanie a później na największy targ w Ameryce Pd. Targ wcale nie jest taki duży, może to dlatego, że dzisiaj jest środa a sobota jest dniem targowym. Na targu można głównie kupić odzież, obrusy i różne pamiątki. Ciekawe po co sprzedają szaliki i czapki jak jesteśmy na równiku i tu przez cały rok jest gorąco. Zrobiliśmy kilka ciekawych zdjęć tutejszym Indianom i kupiliśmy owoce. O 11:00 jesteśmy już na dworcu autobusowym, skąd jedziemy do Ibarra. Z Ibarra jedziemy o 13:00 autobusem do Tulcan, na granicy z Kolumbią. W Tulcan jemy obiad i jedziemy taksówką na granicę, ponieważ to jedyny dojazd. Na granicy są kolejki po obu stronach i przekroczenie granicy zajmuje w sumie około godziny. Wymieniamy też pieniądze i jedziemy busikiem z granicy na dworzec autobusowy w Ipiales. Kupujemy bilet na 19:00 do Medellin, co oznacza, że ominiemy całe południe Kolumbii. Zdecydowaliśmy się tak zrobić, ponieważ interesujące nas miejsca na południu Kolumbii są trudnodostępne i dodatkowo jest tam niebezpiecznie. Mieliśmy szczęście, bo dostaliśmy dwa ostatnie miejsca. Nawet nie były koło siebie, ale poprosiliśmy jednego chłopaka, żeby się przesiadł.

Ekwador zapamiętaliśmy jako kraj, w którym oprócz Latynosów jest dużo białych i Murzynów. Tak samo było w Brazylii. Ludzie chodzą ubrani jak w Europie. Jest tu także dużo grubasów. Ze śmiesznych rzeczy to kilka razy spotkaliśmy się z gazetami rozłożonymi pod nogami w taksówce. Po autobusach kręca się sprzedawcy z batonikami, które wciskają do ręki wszystkim pasażerom. Później zaczyna się przemówienie jak dobre i tanie są batony. Można oddać batony lub zapłacić za nie. Jeżdżą tu także inne samochody niż w poprzednich krajach. Pojawiły się Skody, Deawoo, Hino a także polski Fiat 125. Jeżeli chodzi o turystów to bardzo często można spotkać tu Amerykanów. Przyjeżdżają to, bo po pierwsze nie muszą wymieniać pieniędzy i przeliczać cen. Po drugie są przekonani, że Ekwador to Ameryka Pd w pigułce, bo jest tu morze, góry i dżungla. To prawda, z tym, że morze jest ładniejsze w Kolumbii i Wenezueli. Góry są ładniejsze w Peru i Boliwii. Także dżungla jest lepsza w Brazylii, Peru czy Boliwii. Jedyny plus tego kraju, że jest on stosunkowo mały przy innych krajach Ameryki Pd.

### 10.08.2006, czwartek, Medellin->Cartagena (km 14770)

Myśleliśmy już, że góry się skończyły, ale w nocy jechaliśmy górami z ostrymi zakrętami i z przepaściami. Ciężko się było wyspać, pomimo tego, że autobus jest bardzo wygodny. Ma 35 miejsc, zamiast zwykle 45 miejsc, dzięki czemu jest dużo miejsca na nogi. Jest także klimatyzacja, która się tu bardzo przydaje a kierowca jest ubrany w mundur. Jedyny minus to, że na dworcu autobusowym wisiała tabliczka z wszystkimi firmami autobusowymi oraz ilością wypadków, ofiar śmiertelnych i rannych. Nasza firma (Bolivariano) była na szczycie, bo od kwietnia zabiła 3 osoby. Z drugiej strony nie jest to dużo patrząc na wypadki autobusowe w Boliwii. Tylko nie ma tam tabliczek.

Od rana oglądamy bujną roślinność, podobną do dżungli. Pojawiły się także drzewa ipo z kolorowymi liśćmi, które ostatnio widzieliśmy w Brazylii. O 14:30 jesteśmy w Medellin. Nie dość, że jesteśmy w jednym z najbardziej niebezpiecznych krajów świata, czyli w Kolumbii, to jeszcze jesteśmy w stolicy kartelu narkotykowego. W przewodniku wyczytaliśmy, że kartel został już dawno zlikwidowany a Amerykanie szkolą tutejsze wojska w walce z partyzantami (którzy są w górach, na południu kraju). Wsiadając z klimatyzowanego autobusu buchnęło nam ponad 30 stopni. Trochę się zdziwiliśmy, bo jesteśmy na wysokości 1500 m.n.p.m. Okazuje się, że musimy jechać przez całe miasto na dworzec autobusowy północny. Jednak wszystko jest dobrze zorganizowane, bo spod dworca odjeżdża bezpośredni busik. Medellin to duże (jak Warszawa), nowoczesne miasto, w którym znajduje się Catedral Metropolitana, jeden z najwyższych budynków z cegły na świecie. Na dworcu północnym chcemy kupić bilety do Cartageny. Okazuje się, że przed

samym wyjazdem kierowcy autobusów chodzą po dworcu, próbując znaleźć osoby na wolne miejsca. Dowiedzieliśmy się, że możemy się targować z takim kierowcą. Tak zrobiliśmy i kierowca zaprowadził nas do normalnej kasy, gdzie zapłaciliśmy 25\$, zamiast 33\$, ile chcieli wcześniej w tej samej kasie. Ponieważ do odjazdu o 17:00 zostało nam niewiele czasu poszliśmy jeszcze na szybki obiad. Przed nami 12-15 godzin jazdy do Cartageny. Po drodze widzimy dużego (cztery razy większy niż te w Polsce), niebieskiego motyla. Jest piękny. Leci przy naszym autobusie. Widzieliśmy takiego motyla wcześniej na targu w Otavalo, ale tamten był martwy i nawet zastanawialiśmy się, czy jest prawdziwy. Wieczorem mamy dłuższy postój na jedzenie. Oprócz szaszłyku z kurczaka nic ciekawego dla nas nie ma.

### 11.08.2006, piątek, Cartagena

Mieliśmy nadzieję, że po drodze nie będzie gór i zakrętów, jednak były. Dodatkowo staliśmy w nocy około 3 godziny z powodu robót drogowych. Od rana widzimy równiny, prostą drogę i roślinność jak w dżungli. Zupełnie inny świat, wioski z drewnianymi chatkami. Do Cartageny, nad Morzem Karaibskim, dojechaliśmy o 8:30. Od granicy z Ekwadorem przejechaliśmy około 1500 km, spędzając w sumie 35 godzin w autobusie. Jest rano, ale już jest strasznie gorąco. Rozpływamy się jadąc do centrum i szukając hotelu, bo jest ze 40 stopni. Magda orientuje się, że ktoś ukradł jej portfel z plecaka w nocy w autobusie. Pieniądze nosimy przy sobie a portfel był tylko atrapą, gdyby ktoś napadł nas z nożem i kazał oddawać pieniądze. Jednak w środku mieliśmy polskie pieniądze i teraz będziemy mieli kłopot po powrocie. Później także słyszeliśmy kilka opowieści, że ktoś został okradziony w Kolumbii.

Następnie zaczynamy zwiedzać stare miasto, które jest urocze. Niskie, kolorowe, dobrze zachowane domki w kolonialnym stylu. Zwiedzamy także kilka kościołów i w okolicach portu kupujemy wycieczkę na Islas Rosario. Próbuje także miejscowych koktajli ze świeżych owoców (liquado). Ceny są wyższe niż w Peru czy Boliwii, jednak wybór owoców jest dużo większy. Podobno w Kolumbii rośnie dużo owoców, których nie ma w innych krajach. Do wyboru mamy guayava, guanabana, qurua, sapote, misperi, tomato de arbol i kilka innych. Soczki są rewelacyjne, tego w Polsce nie mamy.

Następnie idziemy zwiedzać stare mury obronne razem z muzeum. Cartagena de Indias, bo taka jest oficjalna nazwa miasta, została założona przez Hiszpanów w 1533 roku, którzy myśleli, że dopłynęli do Indii. Obecnie można sobie kupić koszulkę z napisem „Cartagena de Indias”. Cartagena była portem, z którego złoto i skarby zrabowane w obu Amerykach było transportowane do Hiszpanii. Z tego powodu była ona celem piratów, którzy kilka razy najeżdżali na to miasto.

W Cartagenie jest tak gorąco, że policjanci chodzą w krótkich spodenkach. Także woda idzie nam bardzo szybko. Ulgą są dla nas klimatyzowane sklepy i restauracja, w której jemy obiad. Dzień mija nam bardzo szybko. Wieczorem temperatura wraca do normalnego poziomu. Robimy kilka zdjęć przy zachodzie słońca. Wydaje nam się, że Cartagena obok Rio de Janeiro to najładniejsze miasto w Ameryce Pd, w którym byliśmy. Następnie idziemy na pizzę, której dawno nie jedliśmy. Pizza w wybranej przez nas pizzerii jest bardzo dobra. W hotelowym pokoju mamy wiatrak, ale mury się rozgrzały w dzień i trudno nam zasnąć. Musimy się przyzwyczaić do takiej temperatury, bo tak będzie już do końca naszego wyjazdu.

### 12.08.2006, sobota, Cartagena->Islas Rosario->Baru->Cartagena (km 14870)

Kupujemy banany, które będą naszym śniadaniem i idziemy do portu. O 8:00 wypływamy dużym statkiem (200-300 osób) na rejs na Islas Rosario. Zajmujemy miejsca na górnym pokładzie, gdzie można się trochę poopalać. Płyną z nami prawie sami miejscowi. Wypływając z portu oglądamy najpierw stare miasto. Później widzimy nowe miasto z nowoczesnymi wieżowcami, które wygląda prawie jak Manhattan. Przepływamy także koło statków kolumbijskiej marynarki wojennej. Następnie mijamy fort, położony na samym końcu kanału, czyli przy ujściu do morza. Na Islas Rosario dopływamy przed południem. Widzimy ładną wodę i dużo małych wysepek. Najciekawiej

wyglądają domy, które zajmują prawie całą powierzchnię malutkich wysepek, wyglądające jakby stały na wodzie. Cumujemy przy chyba największej wyspie, na której jest oceanarium. Kupujemy bilety do oceanarium, gdzie oglądamy bardzo duże ryby, płaszczki, żółwie, rekiny i delfiny. Jest też kilkunastominutowy pokaz z delfinami skaczącymi przez belkę, pływającymi na grzbiecie. Woda w oceanarium jest dosyć płytka i bardzo czysta, przez co udaje się nam zrobić rewelacyjne zdjęcia. Najlepsze są zdjęcia z delfinami, które pod pływały po pokazie tak blisko, że prawie można było je dotknąć. Gdyby nie oceanarium to same Islas Rosario byłyby niezbyt ciekawe.

Opuszczamy Islas Rosario i płyniemy na wyspę Baru. Na wyspie Baru jemy obiad (w cenie wycieczki) a później opalamy się na ładnej Playa Blanca i kąpiemy się w Morzu Karaibskim. Koło 17:00 wypływamy z powrotem. Dopływamy do Cartageny o 18:00. Korzystając z okazji, że jesteśmy w porcie, kupujemy sobie koktajle. Codziennie pijemy co innego. Do tej pory najlepiej smakował mi koktajl z tomato de arbol, czyli pomidora z drzewa. Następnie idziemy na drugą stronę starego miasta, gdzie oglądamy mury obronne o zachodzie słońca. Później udajemy się jeszcze do tej samej pizzerii co wczoraj, bo wczorajsza pizza bardzo nam smakowała.

### 13.08.2006, niedziela, Cartagena->Santa Marta (km 15070)

Wstajemy przed 8:00. Nic ciekawego nie udało nam się znaleźć na śniadanie, więc pijemy tylko koktajl i jedziemy z plecakami na dworzec. Na dworcu udaje nam się kupić sandwicze z chleba tostowego. Jest też autobus do Santa Marta. Trochę marudziliśmy, pytaliśmy się o autobusy u konkurencji i kierowca sam opuścił cenę. Po 9:00 odjechaliśmy z dworca autobusowego, ale do 10:00 staliśmy na skrzyżowaniu blisko dworca i czekaliśmy aż autobus napełni się ludźmi. Jedynym pocieszeniem było to, że autobus miał wygodne siedzenia i klimatyzację. Po dwóch godzinach dojechaliśmy do Baranquilla, gdzie większość osób wysiadło a nam kazano przesiąść się do innego autobusu. Po prostu nie opłacało się jechać dalej z kilkoma pasażerami. Znamy to już np. z Zimbabwe. Na szczęście razem z innymi zaprowadzono nas do następnego autobusu i zapłacono za nasz przejazd do Santa Marta. Jedyny problem, że autobus był w kiepskim stanie, bez klimatyzacji i jeszcze miał wyjątkowo mało miejsca na nogi. Jednak jakoś dojechaliśmy. Z dworca autobusowego łapiemy busik do centrum i o 15:00 jesteśmy w hotelu. Następnie idziemy na obiad, na który oboje wybraliśmy rybę. To był błąd, bo na pierwsze danie dostaliśmy zupę rybną :)

Dzisiejszy dzień jest jednym z nielicznych dni podczas tej podróży, w których mamy wolny czas. Dlatego idziemy na pobliską plażę. Jest tu bardzo dużo ludzi, bo tu też są wakacje, ale są to sami miejscowi. Plaża jest brzydka, ciemny piasek i brudna woda. Dodatkowo w oddali widać platformę wiertniczą na morzu. Jednak oprócz tej plaży nie ma za bardzo co robić w Santa Marta. Po co tu przyjechaliśmy? Bo ta miejscowość jest miejscem wypadowym do pobliskiego PN Tayrona.

W Santa Marta widzieliśmy kilka budek na kółkach, które robią w piecu pizzę. Nigdzie indziej nie widzieliśmy czegoś takiego. Można tam także kupić hamburgery i inne jedzenie. Widocznie ludzie lubią tu jeść na świeżym powietrzu, bo klientów było bardzo dużo. My także kupiliśmy koktajle i kawałki pizzy. Usiedliśmy na pobliskim murku razem z miejscowymi, gdzie konsumowaliśmy naszą kolację. Trzeba tylko uważać, żeby dostać świeżo robioną pizzę, bo odgrzewana jest nie dobra.

### 14.08.2006, poniedziałek, Santa Marta->PN Tayrona->Santa Marta (km 15130)

Znowu wstajemy dość wcześnie. Kupujemy banany i mango na śniadanie. Około 9:00 wyjeżdżamy z mercado do PN Tayrona, gdzie jesteśmy o 10:00. Wstęp do parku jest bardzo drogi, podrożał trzy razy w stosunku do tego, co jest napisane w naszym przewodniku. Dostajemy pomarańczowe opaski na ręce, które są dowodem zapłacenia przez nas wstępu. Następnie jedziemy kilka kilometrów busikiem. Dojeżdżamy na parking, położony blisko wybrzeża. Idziemy pieszo na plażę Cañaveral. Plaża jest bardzo ładna, nie ma tu wcale turystów, za to widzimy ogromne fale. Plaża słynie z ogromnych, okrągłych kamieni w wodzie i na plaży. Na końcu plaży znajdują się

klimatyczne, drewniane domki, które kosztują aż 92\$ za noc. Nawet jak byśmy chcieli zostać to i tak nie ma wolnych miejsc. W pobliżu jest mała zatoczka, osłonięta skałami od tych ogromnych fal. Tu można się kąpać i tu stoją leżaki dla turystów mieszkających w pobliskich domkach. Moglibyśmy tu zostać przez cały dzień, ale chcemy zobaczyć inne plaże PN Tayrona.

Dalej wybrzeże jest skaliste, więc musimy iść w głąb parku. Około 50 minut idziemy przez dżunglę i dochodzimy do Arrecifes. Droga jest dość trudna i nieprzejezdna dla samochodów. Jedzenie i inne towary do Arrecifes dostarczane są na koniach i mułach, których widzieliśmy sporo po drodze. Na Arrecifes są trzy plaże. Wszystkie ładne, ale najładniejsza jest najbardziej oddalona El Cabo. Na El Cabo można się kąpać, bo jest otoczona skałami, które rozbijają fale. Przy El Cabo jest także pole namiotowe. Około godzinę opalamy się i kąpiemy. Po 15:00 musimy wracać. Około godzinę zajmuje nam dojszcie do parkingu. Ponieważ nie ma busika postanawiamy iść pieszo. W połowie drogi zabiera nas pick-up, w którym na pacy dojeżdżamy do bramy parku. Następnie łapiemy autobus do Santa Marta i przed 19:00 jesteśmy z powrotem. Na kolację znowu jemy pizzę z budki na kółkach i pijemy koktajle. Musieliśmy też wymienić trochę pieniędzy i okazało się, że jedynym miejscem, gdzie możemy to dzisiaj zrobić jest pobliski sklep spożywczy.

Jutro opuścimy Kolumbię. Nie jesteśmy ekspertami od języka hiszpańskiego, ale zwykle rozumieliśmy co do nas mówili ludzie w Peru czy Ekwadorze. Jednak w Kolumbii zaczęliśmy mieć problemy, ponieważ ich hiszpański jest inny. Kolumbijczycy mówią z innym akcentem, trochę szybciej i do tego jeszcze skracają sobie wyrazy nie wymawiając końcówek.

Poza tym ceny w Kolumbii są jak w Polsce. Jest drożej niż w Argentynie, ale taniej niż w Brazylii. Najbardziej przeszkadzało nam to, że w Kolumbii nie mogliśmy kupić sandwiczów czy nawet samych bułek. Za to wszędzie były dostępne soki ze świeżych owoców i koktajle z mlekiem (liquado). Takiego wyboru jeszcze nigdzie nie było. Jest tu też bardzo mało turystów, co jest miłą odmianą po Peru.

15.08.2006, wtorek, Santa Marta->Maicao->Maracaibo->Maracay (km 16020)

Wstajemy o 7:00 rano. Zabieramy plecaki i jedziemy busikiem na dworzec. O 8:30 wyjeżdżamy autobusem firmy Concorde do Maicao, na granicy z Wenezuelą. Autobus jest klimatyzowany a my mamy bardzo wygodne miejsca z samego przodu. Miejscami jedziemy nawet 100km/h. Już się obawiamy, że w połowie drogi (Riohacha) będziemy musieli się przesiadać na inny autobus. Na szczęście nic takiego nie nastąpiło. Zmienili się tylko kierowcy. Nasz autobus zaczął prowadzić młody kierowca, któremu pilnie przyglądał się nasz stary kierowca. Jechał całkiem niezłe, ale trochę brakowało mu płynności.

O 12:30 dojechaliśmy do Maicao. Wymieniliśmy pieniądze w kantorze na dworcu autobusowym. Co ciekawe, chyba za każdym razem w Ameryce Pd dostawaliśmy lepszy kurs na granicy niż później w stolicy, czy innych miastach. Zwykle na granicy kurs jest dużo gorszy.

Do Maracaibo jedziemy na zakrytej pacy pick-upa z kilkoma miejscowymi. Granicę przekraczamy bez problemu. W Wenezueli co kilka kilometrów zatrzymują nas patroli żołnierzy. Kontrole to tylko proforma, bo sprawdzają tylko paszporty. Żołnierze śmieją się z nas, że jedziemy jak miejscowi a nie dwa razy droższym autobusem czy taksówką. Pod koniec drogi pick-up się psuje. Czekamy około pół godziny do czasu, gdy kierowca postanawia pojechać po jakąś samochodową część do pobliskiego miasta. Płacimy jego synowi za przejazd pomniejszając kwotę o koszt dojazdu do Maracaibo. Następnie zatrzymujemy autobus i o 17:30 (16:30 w Kolumbii) jesteśmy na miejscu. Maracaibo to duże, bogate miasto, które zbudowało swoją potęgę na pobliskich złożach ropy naftowej. Kupujemy bilety na autobus do Maracay na 22:00. W Maracaibo jest strasznie gorąco i duszno, ze 35 stopni po zachodzie słońca. Pewnie dlatego, że to miasto nie leży nad morzem, które zapewnia miły chłód w nocy. Zostawiamy plecaki na dworcu i idziemy szukać jedzenia. Znajdujemy tylko hamburgery i pizzerię. Decydujemy się na dużą pizzę, która jest całkiem niezła. Zgodnie z planem odjeżdżamy dwupiętrowym autobusem (semi-cama) do Maracay.

Wenezuela jest droga, prawie tak droga jak Brazylia. Jednak w zachodniej części Wenezueli widzieliśmy tylko brzydkie domki i prawie same stare (dwudziestolenie) amerykańskie samochody. Śmiesznie wyglądają takie krążowniki z tabliczką „taxi” na dachu.

### 16.08.2006, środa, Maracay->Puerto Colombia (km 16060)

Dojeżdżamy koło 8:00 rano do Maracay. Jesteśmy trochę niewyspani, bo w nocy leciały dwie bajki (Brother Bear i o jakimś ogierze). Bajki były fajne, ale skończyły się o 2:00 w nocy. Na dworcu kupujemy bagietki z serem i szynką na gorąco. Wreszcie jakieś dobre, konkretne śniadanie. O 8:30 ustawiamy się w kolejce na autobus do Puerto Colombia, gdzie zamierzamy spędzić tydzień na plaży. Przyjeżdża jeden autobus, ale odjeżdża bez nas. Ledwo mieścimy się do następnego autobusu, który odjeżdża o 9:30. Najpierw jedziemy godzinę serpentynami pod górę. Zakręty są tak wąskie, że autobus musi zawracać. Następnie jedziemy półtorej godziny w dół. Jest już południe. Tani i dobry hotel polecany przez nasz przewodnik jest już zajęty (zarezerwowany na kilka dni z góry). Magda zostaje z plecakami a ja chodzę po całym miasteczku szukając hotelu. Dzisiejszy wybór jest ważny, bo możemy w tym hotelu zostać kilka nocy. Decydujemy się na Hotel Bahia. W pokoju mamy tylko wentylator, bo pokoje z klimatyzacją były trzy razy droższe.

Następnie idziemy na Playa Grande. Jest tam dosyć daleko od hotelu, ale z wszystkich hoteli jest daleko do plaży. Jak ktoś chce być blisko plaży to musi tu przyjechać z namiotem. Przy drodze na plażę są restauracje i inne sklepiki. Sama Playa Grande jest bardzo ładna. Jest szeroka, długa, w kształcie rogala z dużą ilością palm. Tak jak w Kolumbii, fale są tu bardzo wysokie. Dlatego na początku plaża jest strzeżona i jest tu bardzo dużo ludzi. My idziemy trochę dalej, gdzie nie ma tylu ludzi. Około 17:00 schodzimy z plaży i idziemy do restauracji na obiadokolację, na którą jemy szynkę pieczoną. W tym samym czasie zaczyna padać mocny, tropikalny deszcz, który przynosi orzeźwienie. Po 30 minutach deszczu już nie ma a z rozgrzanego asfaltu unosi się para wodna.

### 17.08.2006, czwartek, Puerto Colombia

Wczoraj w nocy ciężko było zasnąć, bo wiatrak to nie klimatyzacja. Za to jak puścimy wiatrak na maxa to głośno hałasuje i także ciężko zasnąć. Wstajemy o 9:00 rano. Najpierw idziemy na śniadanie (desayuno americano) a później na plażę. Dzisiaj jest dużo mniej ludzi niż wczoraj, może to z tego powodu, że jeszcze nie dojechały autobusy z Maracay. Słońce jest bardzo mocne i trzeba uważać, żeby się nie spalić. Nasz wypoczynek przerywa deszcz, który zaczyna padać koło południa. Chowamy się pod domek ratownika i z kilkoma innymi osobami czekamy aż deszcz przejdzie. W tej temperaturze piasek szybko schnie i możemy wrócić do opalania i kąpania się w wodzie. Po dwóch godzinach znowu zaczyna padać, więc około 15:00 schodzimy z plaży. Wracamy do hotelu na prysznic, przebieramy się i idziemy na obiad do restauracji, w której jedliśmy śniadanie. Zamawiamy cordon blue i spaghetti z pieczarkami. Jedzenie jest wyśmienite. Do tej pory to chyba nasz najlepszy obiad w Ameryce Pd. Na deser zamawiamy soczki. Nie ma tu już koktajli, które piliśmy w Kolumbii. Są tylko soki z ananasa, melona i arbuza. Sok z arbuza jest niedobry, ponieważ jest to arbuź zmielony z pestkami. Po obiedzie kręcimy się po miasteczku i oglądamy zachód słońca w porcie. Szkoda, że nasza plaża jest tak położona, że nie widać z niej zachodu słońca.

### 18.08.2006, piątek, Puerto Colombia

Śniadanie jemy w tej samej restauracji co wczoraj. Po drodze na plażę kupujemy coco frio, czyli mrożonego kokosa ze słomką. Kokos jest tańszy i lepszy od tutejszych soków ze świeżych owoców. Dzisiaj zapowiada się bardzo ładna pogoda, bo nie ma chmur. Opalamy się i kąpiemy na zmianę, ponieważ boimy się zostawić nasze rzeczy bez opieki. Po plaży chodzą sprzedawcy z piwem, lodami, olejkami do opalania i innymi rzeczami. Kupujemy sobie bardzo dobrą sałatkę owocową (ensalada de frutas) z kawałkami arbuza, ananasa i melona. Wszystko pływa w wodzie z

arbuza z lodem, co smakuje rewelacyjnie w takim skwarze. Próbujemy też wenezuelskie lody, które można kupić z wózka-lodówki na kółkach (strasznie drogie).

Fale w Puerto Colombia są ogromne. Większość fal da się przeskoczyć, ale czasami przychodzi wielka fala, która zakrywa ludzi, facetom ściga majtki a kobietom staniki. Ciężko jest tu pływać, więc przeskakiwanie przez fale jest tu jedną z głównych atrakcji. Jak codziennie, na początku plaży (strefa strzeżona) ludzie stoją w wodzie i czekają na fale. Jest to pas kilkudziesięciu osób, będących na tej samej wysokości. Dalej w wodę nie można pójść, bo jest za głęboko. Bliżej też lepiej nie stać, bo załamuje się tam większość fal. Samo przejście z brzegu do „bezpiecznej linii” nie jest proste.

Po południu przychodzą chmury a później lekki deszcz. Gdy zaczyna padać mocniej chowamy się pod budką ratownika. Później rozkładamy się ponownie, ale po pewnym czasie znowu zaczyna padać. Schodzimy z plaży około 16:00. Znowu widzimy jak asfalt paruje. Idziemy do hotelu a później do restauracji, gdzie jemy rybę i milanesę (schabowy). Dzisiaj słońce zachodzi za chmurami.

### 19.08.2006, sobota, Puerto Colombia

Jemy śniadanie, po drodze na plażę kupujemy znowu coco frio. Rozkładamy się na plaży trochę dalej, ponieważ dzisiaj jest dużo ludzi, bo jest sobota. Pas ludzi stojących w wodzie i czekających na falę jest też dużo większy. Dzisiaj niektórzy ludzie nawet piją piwo i szampana w wodzie, co nie jest zbyt mądre.

W sobotę robimy to samo co przez ostatnie dni, czyli odpoczywamy opalając się i kąpiąc. Cały czas przesładują nas sprzedawcy z piwem i ich „cerveza”, które słyszymy w kilku odmianach. Zauważyliśmy, że przy wejściu na plażę możemy kupić ensaladę de frutas i teraz sami po nią chodzimy, gdy mamy ochotę. Dzisiaj także kupujemy lody od mężczyzny z przenośną lodówką, które są kilka razy tańsze od wczorajszych.

Jesteśmy blisko równika i od 10:00 rano słońce jest tu prawie pionowo nad nami. Dzisiaj nie ma chmur i między 11:00 a 13:00 słońce przypieka jak żelazko, że trzeba zaścianiać bardziej opalone części ciała. O 13:00 schodzimy z plaży, bo nie możemy wytrzymać. W końcu jesteśmy na Karaibach. W tym samym czasie, gdy schodzimy, przychodzą chmury a później nawet pada. O 16:00 wracamy z powrotem na plażę. Jest mokro i lekko pada, więc jedynie możemy kąpać się. Następnie idziemy na obiadową restaurację do restauracji Bahia, w której nam tak smakował obiad dwa dni temu. Dzisiaj zamawiamy kurczaka w parmezanie i kurczaka z czosnkiem. Oba dania są wyśmienite. Później idziemy do portu oglądać prześliczny zachód słońca. Spacerujemy także po Playa Grande po zachodzie słońca. Na ulicy, blisko naszego hotelu, ludzie tańczą do muzyki puszczanej przez sprzedawcę płyt kompaktowych. Karaiby.

### 20.08.2006, niedziela, Puerto Colombia

Jemy śniadanie i idziemy do portu, bo chcemy płynąć na plażę Cepe. Pierwsza propozycja jest dwa razy wyższa niż cena dla miejscowych, którą znamy od wczoraj. Chwilę stoimy, przychodzi osoba z innej łódki i proponuje nam normalną cenę. Zgadza się i płyniemy na Cepe. Po drodze jest jeszcze przystanek na plaży Chao, gdzie wysiadają dwie osoby. Cepe jest dwa razy mniejsza niż Playa Grande. Rosną tu ładne palmy. Z boku cumują łodzie i tam woda jest brudna. Poza tym plaża jest całkiem ładna. Dodatkowo jest tu bardzo mało ludzi i jest tu spokojnie. Nie sprzedawców wykrzykujących „cerveza” itp. Po jakimś czasie pojawia się jedynie wózek z lodami.

Dzisiaj przez cały dzień świeci słońce i prawie nie ma chmur. Właściwie to cieszymy się jak przychodzą chmury, bo jest to chwila ulgi. Kupujemy sobie lody dla ochłody. Później schodzimy z plaży i idziemy do jedyne sklepu na plaży. Prawie od razu wypijamy półtoralitrową pepsi z lodówki. Przed sklepem ludzie tańczą parami do muzyki z radia. Karaiby. Przyglądamy się tańcom konsumując kolejnego loda. Po 16:00 wypływamy z powrotem do Puerto Colombia. Następnie jemy obiadową restaurację i idziemy na Playa Grande. Dzisiaj było tu bardzo dużo ludzi, co widać po

ilości pozostawionych śmieci. Jednak naszym plan spędzenia niedzieli w spokoju się powiódł. Po drodze kupujemy sobie coco frio, bo w Polsce tego nie będziemy mieli.

Jest już wieczór a jest dużo cieplej niż w poprzednie dni. Wszystko przez to, że nie było deszczu. Okazuje się, że bez deszczu ciężko tu wyżyć. W naszym pokoju jest tak strasznie gorąco, że trudno jest zasnąć. W poprzednie dni deszcz ochładzał blaszany dach, który teraz jest gorący. Będzie to jedna z naszych najcieńszych nocy podczas tej wyprawy.

### 21.08.2006, poniedziałek, Puerto Colombia->Maracay->Caracas (km 16200)

Dzisiaj jest nasz ostatni dzień odpoczynku w Puerto Colombia. Wstajemy przed 8:00 i idziemy na Playa Grande robić zdjęcia, gdy jeszcze nie ma tłumów ludzi. Magda się źle czuje i nie chce jeść śniadania, więc sam idę na śniadanie. Magda zostaje na plaży. Do południa spędzamy czas na Playa Grande. Później bierzemy prysznic, zabieramy plecaki i idziemy na autobus do Maracay. Znowu jest kolejka ludzi czekających na autobus. Wsiadamy dopiero do trzeciego autobusu, po półtorej godziny oczekiwania. Jedziemy tą samą krętą drogą, którą jechaliśmy tydzień temu. Po drodze przejeżdżamy rzekę. Kierowca zatrzymuje się, wysiada i przemywa sobie twarz i ręce w rzece. Po tym rytuale jedziemy dalej. O 16:00 dojeżdżamy do Maracay.

Razem z miejscowymi czekamy w kolejce na autobus przejeżdżający tędy do Caracas. Przyjechał autobus, w którym są dwa miejsca, ale nie są koło siebie, więc nikt nie chce wsiadać, my także. Przez godzinę nie przyjeżdża żaden inny autobus i niektórzy idą na wolny (zatrzymujący się w każdym miasteczku) autobus do Caracas. W końcu przychodzi osoba z firmy autobusowej, która mówi, że nie będzie dzisiaj już ekspresowych autobusów do Caracas. Za to pokazuje wszystkim miejsce, skąd odjeżdżają małe, bezpośrednie autobusy do Caracas. Autobusik jest całkiem fajny, klimatyzowany. Może jedzie trochę wolniej, ale o 19:20 jesteśmy już w Caracas.

Idziemy na stację metra, skąd jedziemy do Plaza Venezia. Stąd przesiadamy się na inną linię i jedziemy do Bellas Artes. Magda nie zdążyła wsiąść do metra w stronę Bellas Artes, bo jej się drzwi zamknęły przed nosem. Był to niezbyt bezpieczny dla nas moment, bo Caracas uchodzi za niebezpieczne miasto. Czekam na Magdę na Bellas Artes. Później idziemy do hotelu, który wybraliśmy w przewodniku. Hotel Limon jest silnie pilnowany, chyba rzeczywiście nie jest tu bezpiecznie. Pokój jest bardzo drogi (podrożał od 1 sierpnia), ale ma klimatyzację i jest ładny. Jesteśmy głodni i idziemy na miasto szukać jedzenia. Kręci się tu bardzo dużo żebraków i bezdomnych. Ludzie na ulicy ostrzegają nas przed nimi. Nie chcemy się za bardzo oddalać, więc zostajemy w chińskiej restauracji Hong Kong. Oprócz zupy jedzenie nie jest tu zbyt dobre. Po obiadokolacji wracamy prosto do hotelu.

### 22.08.2006, wtorek, Caracas (km 16270)

Dzisiaj o 16:25 mamy wracać samolotem do Europy. Wstajemy o 9:00 rano i idziemy na śniadanie blisko naszego hotelu. Następnie znajdujemy supermarket, w którym robimy zakupy-prezenty, które zawieziemy do Polski. O 11:00 wyprowadzamy się z hotelu i idziemy na busik na lotnisko. Kupujemy bilet na najbliższy odjazd, który jest o 12:00.

Caracas to ogromne, 5 milionowe miasto, w którym widzimy prawie same 30-40 piętrowe budynki. Tak jak w większości takich miast, na obrzeżach są slumsy. Ilość zabezpieczeń, krat i drutów kolczastych jest przerażająca i przypomina nam Nairobi w Kenii.

Po południu wyjeżdżamy na lotnisko. Kierowca dość sprawnie omija korki, widać że jeździ tędy bardzo często. Jednak po wyjeździe z centrum trafiamy na mały korek, w którym spędzamy około 20 minut. Jak się później dowiedzieliśmy, kilka miesięcy temu zawalił się most i jedziemy objazdem. Stojąc w korku widzimy ludzi sprzedających różne towary, którzy chodzą od samochodu do samochodu. Korek jest tu codziennie i to prawie przez cały dzień, więc pomysł nie jest taki zły. Widzimy także bezdomnych opalających się na trawniku. Około 13:00 dojeżdżamy na lotnisko. Kręcimy się po lotnisku usiłując się dowiedzieć, czy musimy płacić podatki wyjazdowe (około 50\$), czy mamy je opłacone w cenie biletu. Nic nie wiemy i przed 14:00 ustawiamy się w

kolejce do check-in. Odprawianie ludzi trwa bardzo, bardzo wolno. Jeszcze tak długiej odprawy nie widzieliśmy. Dopiero o 15:30, czyli po prawie dwóch godzinach przychodzi nasza kolej. Już się martwiliśmy, że nam niedługo samolot odleci. Pani z Lufthansy proponuje nam przesunięcie wylotu na dwa dni później, bo mają overbooking. Mamy dostać darmowy pobyt i wyżywienie w hotelu pięciogwiazdkowym i 700 euro rekompensaty. Zgadzą się od razu, chociaż inni ludzie, którzy dostają taką samą propozycję, zastanawiają się. Niektórzy nie chcą zostać i ostatni ludzie odprawiają się o 16:10, czyli 15 min przed planowym wylotem. Samolot wylatuje z 30 minutowym opóźnieniem. Nie ma nas na pokładzie.

Razem z około 10 osobami czekamy, co będzie dalej. Nikt z obsługi się nie spieszy, ale to chyba tu normalne. Po jakimś czasie dostajemy voucher na pobyt w hotelu. Voucher na 700 euro mamy dostać pojutrze, co się bardzo nie podoba części osób, ponieważ chcą dostać potwierdzenie otrzymania pieniędzy i wylotu za dwa dni. Jeszcze trochę czekania i wsiadamy do autobusu zorganizowanego przez Lufthansę, który zabiera nas do Caracas. Najpierw podjeżdżamy do Radissona, który wygląda aż za dobrze i nie wierzymy, że tu zostaniemy. Okazuje się, że mieliśmy jechać do Tamanaco. Jednak Tamanaco nie jest wcale gorszy. Jest to duży hotel z około 200 pokojami, basenem, restauracją i rzeczywiście ma pięć gwiazdek. Meldujemy się w recepcji i idziemy do naszego pokoju. Drzwi otwierają się na kartę magnetyczną a nie na klucz. W środku jest telewizor, sejf, widok na basen. W łazience mamy hotelowe mydło, szampony, ręczniki. Bardzo nam się tu podoba.

Jesteśmy głodni, więc idziemy do restauracji, która jest tuż obok basenu. Pytamy się, czy możemy wszystko zamawiać i dowiadujemy się, że wszystko oprócz alkoholi. Zamawiamy sobie bar sałatkowy, kremową zupę pomidorową, pizzę i fajitas. Obsługa jest trochę wolna, ale to chyba wenezuelska specjalność. Obok nas siedzą głównie biznesmeni, których łatwo odróżnić od ludzi z naszego samolotu. W końcu dostajemy nasze zamówienie. Wszystko jest bardzo smaczne i bardzo drogie, ale Lufthansa płaci (w sumie kolacja kosztowała ponad 200 zł). Na deser pijemy soki. Truskawkowy jest najlepszy, może dlatego, że rzadko można go dostać. Następnie siedzimy chwilę przy basenie i idziemy spać.

### 23.08.2006, środa, Caracas

Śniadanie podają w innym miejscu niż obiady i kolacje. To chyba dlatego, że na śniadanie jest szwedzki stół. Do wyboru jest dużo serów, owoców, płatków i soków. Jest także jajecznicza i różne dania obiadowe, w których gustują miejscowi. Po śniadaniu idziemy na basen. Wypożyczamy ręczniki plażowe (wyprodukowane w Peru) w budce ratownika, ponieważ basen jest strzeżony. Później rozkładamy się na leżakach. Wreszcie możemy także razem się kąpać, ponieważ nie boimy się, że ktoś nas okradnie. Po pierwsze zostało nam mało pieniędzy. Po drugie jesteśmy w strzeżonym hotelu, do którego można dojechać tylko samochodem. To ostatnie powoduje, że nie jest łatwo wyjść z hotelu na miasto, ale w zasadzie tu nam się podoba i nie czujemy silnej potrzeby pójścia na miasto.

Cały dzień spędzamy na basenie. Woda ma rewelacyjny kolor i jest zimna, co się bardzo przydaje na ochłodzenie w takim upale. Jediną przerwą jaką sobie robimy podczas pobytu na basenie jest obiad. Po wczorajszej kolacji i dzisiejszym śniadaniu wcale nie jesteśmy głodni. Magda zamawia tylko przystawki, ja zamawiam zupę i pizzę. Tak samo jak wczoraj, kelnerzy zamieniają nasze zamówienia i Magda dostaje zupę. Na deser zamawiamy soki, które nam tu bardzo smakują.

Bardzo fajnie odpoczywa się nam w hotelu pięciogwiazdkowym na koszt Lufthansy. Trochę przeszkadza nam pobliska obwodnica (autopista) i brak kremów do opalania. Byliśmy pewni, że już się nie będziemy więcej opalać i specjalnie zużyliśmy wszystkie kremy. Dlatego wieczorem okazuje się, że jesteśmy trochę przypieczeni. Dobrze, że już byliśmy nieźle opaleni po Puerto Colombia, bo inaczej byłoby poparzenie.



Na kolacje nie za bardzo mamy ochotę, ale szkoda marnować taką okazję. Zamawiamy tylko dwie sałatki Cezar, sałatkę owocową (melon, arbuz, trochę ananasa i truskawki) i lody. Mieliśmy nadzieję, że mają tu ciekawe zestawy z lodami, ale dostajemy tylko trzy gałki lodów w różnych smakach, bez żadnych dodatków. Widocznie ta restauracja nie słynie z lodów.

24.08.2006, czwartek, Caracas (km 16340)

Postanowiliśmy się nie obżerać na śniadanie. Tak też zrobiliśmy, ale nie zmienia to faktu, że oboje nas bolą brzuchy po śniadaniu. Wydaje mi się, że to przez jajecznicę, która była niedosmażona, a raczej w połowie surowa. Kto by pomyślał, że zaszkodzi nam żarcie z pięciogwiazdkowego hotelu.

O 11:00 wymeldowujemy się z hotelu, ponieważ o 11:30 ma po nas przyjechać autobus z lotniska. Rachunek za pokój (ze zniżką dla Lufthansy) i jedzenie wyniósł 1200 zł na dwie osoby. Czwórka Włochów już wczoraj bała się, że autobus po nas nie przyjedzie i pojechała taksówką na lotnisko. Po 11:30 razem z innymi ludźmi też zaczęliśmy się martwić. Jedna z kobiet zaczęła nawet dzwonić na lotnisko. Poinformowano ją, że autobus już jedzie i rzeczywiście przyjechał, ale o 12:05. Kierowca chyba chciał nadrobić opóźnienie i jedziemy dłuższą, ale szybszą drogą. Droga jest kręta, na zboczu góry. Z góry widzimy korek, w którym wczoraj staliśmy. Po ominięciu korka wjeżdżamy na główną drogę. Przejeżdżamy przez długi tunel, za którym pada deszcz i jest mokro na drodze. Bardzo dziwne zjawisko, bo przed tunelem była słoneczna pogoda. Koło 13:00 jesteśmy na lotnisku, zaraz po Włochach, którzy musieli zapłacić kupę pieniędzy, żeby tu dojechać taksówką. Przy stoisku Lufthansy dostajemy vouchery na 700 euro (4 \* 175 euro), które mogą być wykorzystane na przelot Lufthansą. Można także je spieniężyć i dostać 600 euro w gotówce.

Ustawiamy się w kolejce do check-in. Oddajemy nasze bagaże i dostajemy bilety na samolot. Znaczący się, że wszystko jest, tak jak Lufthansa obiecała. Tym razem nie dostaliśmy propozycji zostania. Jednak Niemcy, którzy byli z nami w hotelu dostali znowu taką samą propozycję. Różnica jest tylko taka, że nie trzeba zostawać dwóch dni, bo następny wylot jest jutro. Pytamy się, czy możemy także zostać i dostajemy pozytywną odpowiedź. W sumie zostaje nas 5 osób z wczorajszego lotu. Jedyny problem to, że nie mamy już swoich bagaży. Dzisiaj wszystko poszło dużo szybciej niż wczoraj, bo jest po 14:00. Dostajemy voucher do lotniskowej restauracji i mamy wrócić o 15:30. Jemy razem z naszymi znajomymi z pobytu w hotelu. Jedzenie na lotnisku (sałatka, spaghetti i soki) nie jest zbyt dobre. O umówionej godzinie meldujemy się na stanowisku Lufthansy. Okazuje się, że dzisiaj był jeszcze większy overbooking, ponieważ oprócz naszej piątki zostaje jeszcze ponad 20 osób, wśród których jest grupa 16 Holendrów. Szef obsługi w Lufthansie obiecał nam, że załatwi nasze plecaki, ale widocznie zapomniał. Dopiero teraz jedna z osób szuka naszych plecaków i okazuje się, że są już w samolocie, który zaraz odlatuje. Będziemy mieli nasze plecaki, ale musimy je odebrać w hali przylotów. W tym czasie cała grupa odjeżdża autobusem do hotelu. Dostajemy kolejny voucher, tym razem na taksówkę, którą dojeżdżamy do hotelu. Kierowca chciał być sprytny i ominąć korki dlatego wybrał skrót przez góry. Rano jechaliśmy tylko kawałek górami, ale teraz to były prawie same serpentyny. Pomimo tego jechaliśmy półtorej godziny, podczas gdy autobus dojechał (stojąc w korkach) do hotelu przez dwie godziny.

Tym razem znaleźliśmy się w Hotelu Melia Caracas. Hotel składa się z trzech wież. Środkowa ma 40 pięter a boczne mają po 30 pięter. W środku wystrój jest dużo lepszy niż w Tamanaco. Pianino, schody, fotele wyglądają jak z Titanica. Nad wejściem, na dachu jest basen odkryty. Hotel jest tak duży, że przydałaby się mapa. Windy jadą do góry tylko jak się włoży kartę, która jest także kluczem do pokoju. Nasz pokój jest w lewej wieży. W zasadzie to nie pokój, tylko apartament. Mamy salon, kuchnię, trzy sypialnie, dwie łazienki, w tym jedna z jacuzzi i dwa telewizory. Z okna mamy widok na pobliski wieżowiec i centrum Caracas. Następnie idziemy na basen, gdzie spotykamy naszych znajomych Niemców i Wenezuelkę. Po basenie idziemy na kolację, na którą jest szwedzki stół. Okazuje się, że w tym hotelu mieszkają także ludzie overbookowani na linii Air Europa. Jedzenie w Tamanaco było lepsze, ale nie ma co narzekać. Darowanemu koniowi...

25.08.2006, piątek, Caracas (km 16410)

W pobycie mamy wliczone 3 darmowe minuty telefon za granicę. Tak jak z Tamanaco, dzwoniemy do Polski, żeby powiedzieć, że dzisiaj nie przylecimy, bo jesteśmy jeszcze w Caracas. Następnie idziemy na śniadanie, na które także jest szwedzki stół. Po 11:00 wymeldowujemy się z hotelu i czekamy w holu na autobus. Wszyscy, a szczególnie Holendrzy, robią tu sobie zdjęcia. Tym razem autobus przyjeżdża zgodnie z planem i o 11:45 wyjeżdżamy. Powoli zaczynamy orientować się w centrum Caracas. Wiemy, gdzie jest Hotel Tamanaco i Hotel Limon, w którym byliśmy pierwszej nocy w Caracas. Po drodze oglądamy filizankę Nescafe, która znajduje się na dachu wieżowca i sama ma około 8 pięter wysokości. Tym razem jedziemy większym autobusem i chyba przez to nie jedziemy skrótem. Stoimy w korku i oglądamy ludzi sprzedających różne towary, tak samo jak to widzieliśmy trzy dni temu. Znowu koło 13:00 jesteśmy na lotnisku. Stoimy około godzinę w kolejce po voucher na 700 euro. Wszystko tak długo trwa, bo nikt nie spieszy się, żeby nas obsłużyć a za nami stoi ponad 20 innych osób. Od razu pytamy o overbooking i dostajemy informację, że możemy zostać trzeci, ostatni raz. Razem z nami znowu zostają Niemcy i Wenezuelka. Wenezuelka mieszka w Caracas, ale zostaje w hotelu, bo taka okazja może się nie powtórzyć. Znowu dostajemy voucher do lotniskowej restauracji La Piazza. Zamawiamy tylko picie, bo jedzenie nam tu nie smakowało. O 15:30 jesteśmy przed stanowiskiem Lufthansy. Holendrzy polecili, ale jest kolejne 30 osób, które jest overbookowane. Czekamy jeszcze około godziny, aż każda z osób dostanie voucher i informacje odnośnie powrotu.

Tym razem jedziemy do Radisson Eurobuilding, przed którym byliśmy kilka dni temu autobusem. Hotel jest mniejszy niż Melia, ale dwa razy większy niż Tamanaco. Pokój też podobny do Tamanaco, „tylko” jedna sypialnia i łazienka. Za to mamy telefon z panelem dotykowym, którym można sterować klimatyzacją i telewizorem. Z pokoju mamy nieciekawą widok na przód hotelu. Mamy też w pokoju barek-lodówkę. Zjeżdżamy na dół oszkloną windą z widokiem na basen i pobliskie małe lotnisko. Idziemy na obiadokolację, bo dzisiaj nie jedliśmy obiadu. W recepcji spotykamy 30 Francuzów, którzy właśnie przyjechali autobusem i tak samo jak my byli overbookowani na dzisiejszy lot Lufthansy do Frankfurtu. Codziennie coraz więcej ludzi. Okazuje się, że kolacje podają od 19:00, więc czekamy kilkanaście minut. Zamawiamy jedzenie z karty. Jest lepsze niż wczoraj i zostajemy dosyć szybko obsłużeni. Później siedzimy sobie na leżakach przy basenie. Okazuje się, że podczas naszej kolacji ktoś był w naszym pokoju i zamknął barek oraz zabrał do niego klucz. Widocznie nie chciało im się sprawdzać przy wymeldowywaniu, czy ktoś coś wypił lub zjadł z barku. Istniała też szansa, że ktoś coś wypije i będzie się tłumaczył, że nie wiedział, że trzeba było za to płacić dodatkowo.

26.08.2006, sobota, Caracas (km 16480)

Wstajemy i idziemy na śniadanie, na które jest szwedzki stół. Wybór jedzenia jest dość duży. Są bułki, pancake, u kucharza można sobie zamówić jajko sadzone lub jajecznicę z różnymi dodatkami. Robimy sobie kanapki do samolotu, bo jesteśmy pewni, że dzisiaj wylecimy. Już wczoraj nam powiedziano, że trzeci raz to ostatni. Po śniadaniu robimy sobie zdjęcia na basenie i z hotelem. O 11:30 wyjeżdżamy na lotnisko, gdzie jesteśmy o 13:00. Żartujemy z Niemcami i Wenezuelką, że pracujemy dla Lufthansy za 700 euro dziennie. Naszą pracą są codzienne dojazdy na lotnisko, stanie w korkach, czekanie przy stanowisku Lufthansy i pobyt w hotelu. Możemy też napisać przewodnik po hotelach pięciogwiazdkowych w Caracas, bo w większości już byliśmy. Wenezuelka bardzo chce zostać jeszcze raz, ponieważ potrzebuje tych pieniędzy na studia w Europie.

Dzisiaj wszystko trwa wyjątkowo wolno, chyba jeszcze wolniej niż pierwszego dnia. Wenezuelka dowiaduje się, że z powodu tak dużego overbookingu, może zostać jeszcze raz. Niemcy odlatują a my decydujemy się także zostać. Załatwienie tego wszystkiego trwało dwie godziny. O 15:00 dostaliśmy voucher do restauracji, gdzie możemy spędzić tylko 40 minut.

Kwadrans czekamy aż ktoś przyjmie od nas zamówienie. Po następnym kwadransie pytamy, co z naszym zamówieniem. Dostajemy pizzę, która jest przypalona. Zjadamy tylko górną warstwę. Składamy reklamację, chcąc nam zrobić nową pizzę, ale nie mamy czasu, bo musimy być przy stanowisku Lufthansy. Okazuje się, że nie trzeba było się spieszyć, bo stoimy tu około godziny. Tym razem znowu jest 50-60 osób, które zostają z nami. Niektórzy zostają już 2-3 raz, prawie tak długo jak my. O 18:00 dojeżdżamy do Hotelu Radisson Eurobuilding. Już tu byliśmy, więc wiemy co i jak się tu robi. Prosimy o pokój z widokiem na basen z palmami i taki dostajemy. Na kolację zamawiamy bary sałatkowe, rybę i spaghetti. Nie dostajemy zamówionych soków i deseru, więc się musimy upominać. Znowu podczas naszej nieobecności ktoś był w naszym pokoju, zamknął barek i zabrał klucz. Oglądamy CNN, żeby być na bieżąco z tym, co się dzieje na świecie.

## 27.08.2006, niedziela, Caracas (km 16550)->Frankfurt

Wstajemy rano. W telewizji leci wyścig Formuły 1, w którym startuje Robert Kubica. Jest to dopiero jego drugi wyścig. Polak spisuje się bardzo dobrze, jakby miał kilkuletnie doświadczenie w tym sporcie. Następnie idziemy na śniadanie. Dzisiaj jest kolejka i trzeba czekać na pusty stół. Ludzie overbookowani przez Lufthansę są gorzej traktowani, siedzą w drugiej części restauracji. Dzisiaj jest to szczególnie widoczne, ponieważ kobieta przyprawia nas do drugiej części restauracji i zostawia nas, żebyśmy sobie sami znaleźli stół. A wszystkie stoły są zajęte lub jeszcze nie nakryte. Robimy sobie znowu kanapki do samolotu. Później idziemy poprawić wczorajsze zdjęcia z tego hotelu, ponieważ dzisiaj jest dużo ładniejsza pogoda.

Prawie jak codziennie, wyjeżdżamy po 11:30 na lotnisko i koło 13:00 jesteśmy na miejscu. Wiemy, że następny lot jest dopiero za dwa dni (dokładnie tydzień później niż mieliśmy wylatywać), więc postanawiamy wracać do Polski. Wenezuelka chce jeszcze zostać, ale wstydzi się pytać. Odprawiamy się bardzo szybko i mamy prawie dwie godziny w strefie bezcłowej, gdzie wydajemy nasze ostatnie wenezuelskie pieniądze. Kupujemy także picie, jednak później przypominamy sobie, że po złapaniu terrorystów w Wielkiej Brytanii wprowadzono zakaz wnoszenia cieczy (także pasta do zębów) w bagażu podręcznym.

Po 15:00 zaczyna się odprawa. Pierwszy raz takie coś widzimy. Najpierw wchodzi ludzie z biletami, którzy mają naklejoną niebieską kropkę na karcie pokładowej (boarding pass). To chyba biznes klasa. Później wchodzi ludzie z czerwoną kropką a na końcu my, którzy mamy zieloną kropkę. Samolot nie może wystartować zgodnie z planem, ponieważ mamy uszkodzony filtr paliwa. Wylatujemy do Frankfurtu z godzinnym opóźnieniem.

## 28.08.2006, poniedziałek, Frankfurt->Katowice

Przylatujemy także z ponad godzinnym opóźnieniem. Boimy się, że odleci nam samolot do Katowic, który ma odlecieć o 10:20. Na lotnisku jesteśmy o 10:05 i już się powinien zacząć boarding. Dowiedzieliśmy się, że my powinniśmy zdążyć jednak nasze bagaże nie zostaną tak szybko przepakowane. Gdy dostajemy się do naszej bramy B55 okazuje się, że nie trzeba było się spieszyć, bo samolot wyleci z godzinnym opóźnieniem. Czytamy sobie darmowe gazety, które leżą na lotnisku. Już dawno nie widzieliśmy tylu ludzi mówiących po polsku.

Lot do Polski trwa około półtorej godziny i przed 13:00 lądujemy w Katowicach. Nasze plecaki przyleciały z nami, ale w moim wylał się w środku żel pod prysznic. Po położeniu płam mogę z całą pewnością stwierdzić, że mój plecak podróżował do góry nogami. Dobrze, że samych plecaków nam nie uszkodzili. Następnie jedziemy autobusem z lotniska do centrum Katowic na pod dworzec PKP. Jesteśmy to po 14:00. Magda pyta się w informacji o pociąg do Wrocławia i otrzymuje informację, że pociąg jest dopiero za niecałe dwie godziny. Jednak sprawdzając na tablicy odjazdów okazuje się, że na peronie stoi opóźniony o 20 minut pociąg, który jedzie w kierunku Wrocławia. Biegniemy na peron i udaje nam się wsiąść do pociągu. Będziemy musieli zapłacić konduktorowi za wypisanie biletu, ale będziemy dwie godziny szybciej. Dokładnie dwa miesiące temu wyjeżdżaliśmy z Polski...